



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół. kwartal. 5 marek.

NA WERENDZIE.

(POGAWĘDKA).

„Szkoła nie jest wszystkiem w wychowaniu, podstawę daje dom rodzinny.”

Ten piękny, bo prawdziwy aforyzm napisała panna Jadwiga Sikorska przed laty w jednym z pism zbiorowych, a poświęciwszy nauczycielstwu całe życie swoje i zostawszy przełożoną jednej z pensyj warszawskich, ze szkoły zrobiła więcej niż szkołę, bo, pamiętając na wygłoszone przez siebie zdanie, zapragnęła być nie tylko nauczycielką, lecz matką powierzzonej sobie młodzieży i w chłodne mury szkolne wprowadzić tyle rodzinnego ciepła, by z jej zakładu wychodzące wychowanki na długie lata swojej ziemskiej wędrówki ogrzać się niemi mogły.

„Chcieć to móżdż” — powiada od dawien dawna utarte zdanie. Dużo w tem jest prawdy. Ale, jakkolwiek *chcenie* wytwarza *możność*, — by jednak pożądaný *wynik* nastąpił, musi z pomocą przyjąć *umiejętność*, bez której *możność* wszelka i chęci dobra skrzywić się mogą i do pomyślnego nie doprowadzić rezultatu.

W dwudziestopięcioletniej pedagogicznej działalności panny Sikorskiej, zacnym jej chęciom umiejętność podała rękę i jakkolwiek kto a kto, to szanowna jubilatka z dumą powiedzieć może, widząc błogosławiony wynik pracy swojej: *chcieć* to móżdż — musi jednak dodać: *umiałam* stanąć na wyżynie podjętych przez siebie zadań; *umiałam* technąć ciepło w serce opiece mojej powierzone; *umiałam* gorzkie zazwyczaj początki nauki słodczyć przepoić, i oto, gdy dzisiaj powstała pomiędzy moimi wychowanicami myśl uczenia

świerówkowej pracy mojej w zawodzie nauczycielskim, — wspomnienie chwil w szkole prowadzonej przeze mnie, równa się wspomnieniom chwil spędzonych u rodzinnego ogniska i dlatego widziane tam dobro — nie zatarło się, wchłonięte ciepło — nie ulotniło się, dojrzana prawda nie odezwała się rozdzwękiem najmniejszym wśród późniejszych, a różnych kolejach życia.

Dwadzieścia pięć lat pracy, dwadzieścia pięć lat zaparcia się się siebie dla dobra innych — to nie miały odłam życia, złożony na ołtarzu przyjętego dobrowolnie obowiązku. Pomyliliśmy się: to życie całe — bo poświęcona temu zawodowi została młodość, najpiękniejsza część wieku, w którym serce najbardziej pożąda dobra i szczęścia — dla siebie; w którym, pomimo zapału i zdolności do najszczytniejszych poświęceń i ofiar najkrwawszych do celów ogólnych, — nieświadome ja odzywa się najsilniej, bo tylko w dniach młodych około tego ja świat się cały obraca, to ja daje, lecz i pragnie zarazem, rozrzuca się z marnotrawstwem magnata i koło siebie i w sobie zarazem chce skupić wszystkie skarby świata.

Są poświęcenia, dające rozgłos, sławę, zapewniające nieśmiertelność po skończonej wędrówce życia. Do nich nie należy ciężki, trudny, nieprzeplatany nigdy różami zawód nauczycielski. W nim najtrudniej zarobić sobie na wdzięczność współczesnych, na pamięć u potomnych. Bo nieraz krnąbrne są serca, nad którymi pracować potrzeba, ciasne umysły, które rozszerzyć jest zadaniem opiekunki, a że dusza dziecka nie jest białą, niezapisaną kartą, na której dość byłoby takie a takie znaki położyć, by ją według danej modły urobić — ileż to trudu, pracy i cierpliwości zużyć potrzeba, by odczytać te runiczne znaki duszy dziecięcej, na które składały się wiek po wieku i pokolenie po pokoleniu. Na samem odczytaniu jednak tych znaków, które się składają ze złych lub dobrych skłonności, a utrwały się prawem dziedzictwa — robota się nie

kończy. To dopiero część pracy, początek zadania, trudny lecz nie najtrudniejszy. Bo oto są linie pisane białą i czarną: pierwsze utrwalić, rozszerzyć — drugie związać, zmniejszyć, jeżeli nie zatrzyć zupełnie potrzeba. Z pierwszymi robotą łatwą, praca koło nich pociąga za sobą — wdzięczność; z drugimi prowadzi się systematyczna walka, czasami koniecznym jest zadanie bólu, a że ból wszelki jest niemiły, a że konieczność jego niezrozumiana bywa — częstokroć praca podobna nie wdzięczność, lecz niechęć pociąga za sobą.

I oto z tych nieuzasadnionych niechęci, z tej garstki *niezadowolonych*, nierozumiejących konieczności zadanego bólu, wytwarza się częstokroć opaczna opinia; niepopłażanie w złem uważane bywa za niesprawiedliwość w postępowaniu nauczyciela lub nauczycielki; zasłużona niełaska lub kara — za krzywdę, a jeżeli, mimo prac i trudów podjętych około wykorzenia złego posiewu, zło wyplenione nie zostało, krnąbrność nie zlagodzona, upór nie przełamany: winna jest szkoła, winni są wychowawcy, a że wszystkie nici tej szkoły skupiają się w rękę przełożonego czy przełożonej — on lub ona odpowiedzialnymi zostają za wszystko, na ich to barkach spoczywa cały ciężar tej odpowiedzialności; a czy nie dogodniej jest opiekunom i rodzicom leniuchów i uparciuchów nieumiejętność swojego postępowania na kogo innego zwalić, własne sumienie oszukać, zrzucić z siebie odpowiedzialność wszelką na szkołę, w danej chwili reprezentowaną przez pana X lub panią Y?

Znamy podobne wypadki, niejednokrotnie o uszy nasze obijały się sądy niechętnie o zakładach naukowych i ich przełożonych. Przez brak samokrytycyzmu rodzice w dzieciach swoich widzą prawie zawsze geniuszów małych i aniołków zadziwiającej doskonałości; a choćby głos wewnętrzny nieco inaczej przemówił do nich, choćby geniuszek trzech zliczyć nie umiał, a anioł-

lek po łapie nieraz za upór dostać musiał, choćby, wyrosłszy na człowieka, z geniusza stał się głupej najczystszej wody, a z anioła — marki pierwszej szubrawiec: pierwsi kierownicy kroków dziecięcych nie przyznają win sobie, nie powiedzą, że zgrzeszyli: albo nadmierną pobłażliwością, albo zaniechaniem zupełnym wychowania w pierwszych a najważniejszych chwilach rozwoju umysłu i serca dziecka, gdzie pedagogiczna umiejętność rozumnej miłości z pomocą przyjsie powinna, — nie, oni sumiennie wypełnili wszelkie obowiązki, dotyczące się początków wychowania swojego dziecka, wprawdzie że bona z Paryża albo Berlina wzięta, była nieodstępna towarzysząca dzieciaka, ale i nad boną czuwano. Dla czegoż zawiódł geniuszek, aniołek oszukał?... Winną temu pensya, czy szkoła, przełożony lub przełożona zakładu, w którym wychowywał się przyszły obywatel czy przyszła obywatelka kraju.

Panna Jadwiga Sikorska, jakkolwiek młoda dziewczyną będąc, bo zaledwie ukończywszy nauki u pani Krakowowej, do pracy nauczycielskiej się wzięła — nie z doświadczenia (na to lat potrzeba), lecz przez intuicję zrozumiała całą odpowiedzialność swojego zawodu. To też, gdy po kilku latach nauczycielstwa w domach prywatnych, a później na pensyi utrzymywanej przez swoje siostry, na własną rękę otworzyła zakład naukowy — do pracy wychowawczej wzięła się z całym młodzieńcym zapalem, na naczelnem zaś miejscu postawiwszy nie zysk własny, lecz dobro ogółu, powiedziawszy sobie a powiedziawszy rozumnie, że: „szkoła nie jest wszystkiem w wychowaniu, podstawa jej dom rodzinny” — wprowadziła miłość i ciepło domowego ogniska do ścian swojego pensjonatu, tak, że jej wychowawce, opuściwszy dom rodzinny, braku tego nie uczuły w jej zakładzie, a te, którym tego ogniska zabrakło, znalazły je na pensyi dobrej przełożonej. Mogły więc być jakie niechęci? czy jakiegobądź inne uczucie, nad uczucie wdzięczności zdolne było zakiełkować w sercach uczennic? Te, w których sercach niestarte jeszcze żyło wspomnienie domu rodzicielskiego, wdzięczne jej były za przedłużenie uroku drogich wspomnień; te, które domu tego nie miały, wdzięczne jej były za stworzenie tego domu, o którym nieraz słyszały z opowiadań rówieśnic, o którym, pozbawione go, marzyły może nieraz, ocierając sierotę łzy z oczu.

Po latach dwudziestu pięciu, gdy niejedna z jej uczennic założyła ognisko własne, została gospodynią domu, żoną i matką; gdy na ówierówiekową działalność swojej nauczycielki nie okiem dziecka, lecz doświadczonej kobiety spojrzęła: dawne przywiązanie i wdzięczność dla dobrej przełożonej, musiała zmienić na wyraz czci i miłości rzewnej. Te ćwierć wieku ona przeżyła życiem pełnem. W kalejdoskopie wypadków mogły być światła i cienie, dola i niedola, bo życie różnie się układa — lecz wyciągało się ramiona do tego życia, do jego ponęt, zachwytów i rozkoszy.

Czy co się zmieniło w życiu dawnej przełożonej? czy choć jeden z czarów jego padł jasnym promieniem do stóp wychowawczyni?

Nic z ponęt tego świata, rozrywek i zabaw! Praca, zmudna praca, której zadaniem było dobre wychowanie młodego pokolenia; oddanie siebie dzieciom obcym, które w szeroki świat pójdą i nie wrócą już do niej nigdy — może wspomnieniem nawet. Nawet do żadnej ze swych wychowawczyń nie może się swem niewieściem sercem bardziej przywiązać — bo na to serce coraz nowe i nowe czekają; a gdyby i uległo tej przyrodzonej słabości ludzkiej — przyjdzie czas, ukończony ptaszek wyfrunie, porwie go gwar świata, a tak nietrudno w tym wirze o zapomnienie. Potrzeba więc kochać — bez nagrody, poświęcać się — może nawet bez zapłaty wspomnienia.

Bez obowiązku życia nie ma, w mniejszym lub większym zakresie obowiązek życie ludzkie wypełnia. A jak jest „miło śpiewać dla swoich”, tak dla swoich i pracować jest miło. Tylko że praca jest pracy nierówną, a ze wszystkich podjętych prac i trudów, najtrudniejszą, najuciąźliwszą, najniewdzięczniejszą i najbardziej po-

zbawioną uroku jest praca nauczycielska. „Bodajbyś cudze dzieci uczył” brzmi złorzeczenie. W okrzyku tym leży całe piekło pracy nauczycielskiej, cały ciężar zadania, połączony z tem wszystkiem, co świat ma najgorszego.

Nie ulękła się tego kobieta młoda, której to słów kilka z powodu jej jubileuszu nauczycielskiej pracy poświęcam. Świat zabaw i rozrywek dla niej przestał istnieć, nie cofnęła się z raz obranej drogi, i oto po latach pracy, jedyną jej nagrodą jest pamięć dawnych jej uczennic, które niezapomniały o dniu jej jubileuszu, lecz zwartem kołem stanęła przy niej, by złożyć hołd wdzięczności i niewygasłej pamięci i miłości za trudy podjęte około wykształcenia ich serc i umysłów.

„Bluszcz” jako pismo poświęcone kobietom, tej chwili nie mógł przeoczyć. Ze stanowiska kronikarza, mógłbym na malej poprzestać wzmiance, resztę wymowniejszemu pióru pozostawiając — ale zbyt jest znaną doniosła działalność pracy Sikorskiej, zbyt wiele o niej od jej uczennic słyszałem, ażebym się mógł powstrzymać od złożenia należnego hołdu za długie lata pracy, cichej a tak wymownej, gorzkiej a w skutkach tak słodkiej, niewdzięcznej a serce tyle skłaniającej do czci i wdzięczności.

Nie powróciłem jeszcze na bruk miejski, dotąd sielskiej zażywam swobody, korzystając z dni prawdziwie letnich, jakimi nas pierwszy tydzień Września obdarzył. Już to zdaje się, że, jak zwykle, złota jesień zawodu nam nie uczyni i kto wie czy *jesiennicy* lepiej niż *letnicy* nie wyjdą? Dolatują więc do mnie tylko odgłosy z Warszawy, odgłosy niezupełnie dźwięczne, mówiące o pewnym zaniku poczucia obywatelskiego, obniżeniu się okrutnem poziomem opinii publicznej, tolerowanie nieraz takich postępów, które, przed niedawnymi jeszcze czasami nie za przewinienie, nie za grzech ale wprost za zbrodnię uważane by były.

W wielu wypadkach *pobłażliwość* należyć nawet może do cnót chrześcijańskich, ale są wypadki, w których karygodną się staje. Pobłażliwymi czasami jesteśmy z powodu znajomości ułomnej natury ludzkiej, lecz dziś, to złożenie nie skutkiem rozumowania lecz wyrachowania bywa: Garnek nie chce garnkowi przyganiać — i oto na czem polega ta rzekoma pobłażliwość chrześcijańska.

Mówiąc o złem, powinienem powiedzieć, jakie to złe mianowicie mam na myśli? Nie będę jednak, bo z wielu względów nie mogę w szczególności się bawić, ogólnikowo powiem tylko, że do naprawy pewnych stosunków powinno się przyczynić śmiało, wypowiedziana opinia publiczności a że jej brak jest zupełny — potrzeba popracować nad jej wskrzeszeniem.

Ze zbliżającą się jesienią zaczyna się podważać ruch miejski. Od mórz i gór, od dolin i od pól powracają na zimowe leże uciekinierzy miast większych, istne ptactwo wędrowne, z tą tylko różnicą, że ich wiosenne słońce do gniazd przygania, gdy tu mrowisko ludzkie na czas zimowy do domowego ogniska spieszy. Ale ptak bezpłatnie korzysta z darów natury, z zieleni i słońca, ze zbóż kołyszących się na łąkach, z gajów rozsianskich po lasach, z owoców drzew; ulega instynktom i rozkazom przyrody, zbytnio się nie troszcząc o dzień jutrzejszy. Ani sieje ani orze a żywi je Ojciec niebieski. Inaczej z ludźmi, inaczej im się dola usłala czy sami ją sobie usłali — ale nieraz chcąc z całego serca być siewaczami, ani ziarna ani pola znaleźć nie mogą — i zazdroszczą gniazd ptaszkom i chętnie by swe życie na ich życie zamienili. Prawda, że nad gołębiem czuwa bystre oko jastrzęb; prawda, że czasami wróbel w jaskółczem gnieździe zamieszka — te jednak tragedye ptasie, są częstokroć sielanką w porównaniu z życia ludzkiego dramatem, który jest tem straszniejszy, że tu rozum, wola, świadomość, wysiłku mózgu i serca, wszystkich najszlachetniejszych uczuć i najwznioślejszych porywów — rozbijają się jak pył marny o granitową skałę życia. A ile nędzy i jakiej nędzy!

Znacie park Pragski czy Aleksandryjski w Warszawie? Zechciejcie przejść brzegiem

Wisły w stronę mostu kolejowego. Zobaczycie w jaki sposób u nas odbywa się — regulacja brzegu, obejrzyście massy śmiecia umacniające wybrzeże od zalewów Wisły, cuchnące, ohydne, z gnijącymi odpadkami różnymi, zebranymi z różnych zakątków wielkiego miasta. My, mający nad głową dach jaki taki i jaką taką strawę codzienną, narzekamy częstokroć na losy, nie wiedząc nic, że jesteśmy magnatami, że opływamy w rozkoszach i zbytkach, że jesteśmy ukochanymi niebios.

Żarty!

Bynajmniej!

Idźcie na ten brzeg wiślany, a zgrozy dreszcz was przejmie, skarga na losy przed chwilą ustawa wasze poruszająca w szept dziękczynienia się zmieni, ciężar życia dźwigany przez was usunie się z boru nagle, chmurne niebo promiennymi błękitami zabłyśnie. Bo spojrzcie: oto na tem śmieciisku snują się istoty do was podobne, mające takie same prawo do życia, jak wy; takie same pragnienia szczęścia, jak wy; takie same poczucie krzywdy — tylko więcej uzasadnione, tylko mniej fantastyczne. Ten olbrzymi, gnijący szmat śmieci miejskich jest kopalnią złota dla tych pasierbów natury; od samego świtu błądzą tu łachmaniarze i łachmaniarki, w tych śmieciach szukają szmatek odartych na strzępy ubrań ludzkich, przez psy żarłoczne kości porzuconych i innych odpadków z olbrzymiej uczty ludzkiej; strzępami temi i kośćmi napęlniają wory zawieszane przez plecy i sprzedają później te skarby do fabryk. Od świtu do nocy schylają się nędzarze i nędzarki, a ta praca całodzienna, da im kilkugroszowy zarobek, mogący zaledwie przytłumić pierwsze uczucie głodu. Nie myślcie jednak, że to śmietnisko miejskie nie rozbudza żądz żadnych, ani zawieści. Jak u nas stos złota porusza namiętności i nieraz dusze czerni i serca nieprawi, — tak samo obfitsza w łachmany kupa śmiecia staje się powodem walki okrutnej, zapasów śmiertelnych, kończących się nieraz przelaniem krwi tych poszukiwaczy — szczęścia.

Odwracasz twarz.

„Ohyda!... wołasz — —

„Stój!... i choć na chwilę bądź — mędrcom.

Oburza ciebie i zgrozą przejmują ten zatarg nędzarzy na śmieciisku. Warczą, dławia się i duszą o znaleziony kawał szmaty większej, jak gdyby ona złotym pieniądzem była. Ale zmień teren, zmień ludzi, zmień sposób walki, pobudki jej tylko pozostaw — a jakiś płomień uczujesz na twarzy swojej; jakiś anioł skruczy sercem twoim poruszy i miejsce zgrozy zajmie ogromne uczucie litości, a potępienia słowa w wyrazy przebaczenia się zmieniają.

Jesteś wśród mętów społecznych, wśród okropnego świata ludzi w zwierzęta przemienionych. Dotykasz ran krwawiących i — bezsilny poszukujesz balsamu na ten wrzód straszny. Aleś go ujrzał — i zmądrzał. Ciężar własnego twojego życia mniej cię już przygniata, czujesz więcej miłości w sobie, wstępuje w ciebie duch Chrystusowy, sprawiedliwość się rodzi, błogosławisz losom, że nie rzuciły ciebie na ten barłóg nędzy — bo czemesz jest, jeżeli nie dziełem przypadku?

Jak podczas Panamy francuskiej pewien dowcipniś odpowiedział, chwalcącemu się z moralności naszego społeczeństwa: że i u nas mogłaby być Panama, tylko takiego kanału nie ma — tak dobrze i w powieściopisarstwie naszym, opierając się na dokumentach czerpanych z życia codziennego, moglibyśmy mieć powieści skreślane na wzór „Zerminała” czy „Ziemi” — jeno, że takiego Zoli nie mamy. Może oburzysz się na myśl podaną, na tę powieść ze śmietniska wziętą... A jednak błądzące tam rojowisko ludzi oddycha tem samem co i my powietrzem; chodzi po tej samej co i my ziemi, mówi tym samym co i my językiem. Nie zapierajmy się krewiństwa. Z jednego gniazda dziećmi jesteśmy.

Jaki ztąd wynik?

Jak słońce jasny — —

Czekacie odpowiedzi?

Da wam ją rozumna filantropia.

Przed laty dziesięciu nie myśłano u nas o „Pogotowiu ratunkowym” — dziś dobroczynna instytucja rozwija się dzięki zrozumieniu jej donio-

słości przez społeczeństwo i poparcie jej chętne; o założeniu sanatoryjów czy uzdrowisk — mówimy już z należytą powagą; przyjdzie czas i na to smietnisko, zalegające tak piękny brzeg wiślany i na tych nędzarzy, poszukujących w niem — szczęścia.

Nie śmiecie się — szczęście ma różne wymiary.
??

PRACA KOBIET.

(Dokończenie).

W niezbyt licznych rodzinach, w których dwie lub więcej nawet kobiet dorosłych wyłącznie w domu i domem się zajmuje, z góry wiedzieć można, iż one albo nie mają co robić, albo też czas trwonią na różne zupełnie nieprodukcyjne i zbyteczne zajęcia. Należą do nich naprzykład kosztowne robótki, nie mające ani artystycznej wartości, ani praktycznego zastosowania, przyprawianie różnych przysmaczków, które choć przyrządzane w domu, są zbyt kosztowne w stosunku do domowego budżetu, nieudolne fabrykowanie strojów, bez których wobec skromnych środków obejść się należało, wreszcie uprawa t. zw. talentów, jeśli istotnego talentu nie ma. Przystępując do jakiegokolwiek zajęcia, powinniśmy zawsze stawiać sobie pytanie, czy ono się opłaca, czy korzyść przez nie osiągnięta odpowiada ilości pracy i czasu spotrzebowanego, słowem, czy ono jest produkcyjnym. Ponieważ dziś jeszcze dość znaczna ilość kobiet zajmuje się w sposób nieprodukcyjny zupełnie, lub też stosunkowo niezbyt korzystny, więc i to samo przez się również ujemnie wpływa na cenę pracy kobiecej. W warunkach dziś jeszcze za normalne uważanych, zwykle zatrudnienia kobiecie przynoszą bardzo mało, to też każda korzyść materialna, którą pracą swą zdobywają, traktowaną jest jako coś nadprogramowego, dodatkowego, nie wchodzącego w stały rachunek. Czas i praca kobiet, lekceważone przez nie same, są też i w skutek tego nisko szacowane na rynkach zarobkowych.

Na położenie materialne kobiet wpływają jeszcze ujemnie dwa dość ogólne rysy ich charakterów, mianowicie brak rzutkości i pomysowości — oraz niedostateczne zrozumienie znaczenia solidarności i kooperacji.

Kobiety, które nie posiadają nic, zmuszone są własnym wysiłkiem się utrzymywać, pracując zwykle bardzo gorliwie i wytrwale, czasem pracując nad siły. Te które mają jakiś niewielki kapitał, umieją oszczędzać, ściśle z groszem się liczyć — a jeśli i w takich razach wystarczać na utrzymanie nie mogą, depełniają luki jakąś tanią, dodatkową pracą, która mniej więcej pomaga im koniec z końcem związać ale czyni szkodliwą konkurencją tym, dla których ona jest głównym źródłem utrzymania. Na to aby same stworzyć sobie nowe źródło dochodu, aby swój kapitał w ruch wprowadzić, jakiś szczęśliwy pomysł wyzyskać — rzadko, która się decyduje, gdyż ogólnie lękają się ryzyka, nie pamiętając o tem, że powierzając swoje zasoby obcym ręką, często znacznie więcej ryzykują, niż gdyby niemi same umiejętnie i ostrożnie obracały. Tym zaś które są właścicielkami znaczniejszych majątków, nawet na myśl nie przychodzi, by mogły inaczej niemi gospodarować niż umieścić je w bezpiecznej lokacji i żyć z procentu.

Jest u nas jeszcze rzeczą, niezmiernie rzadką, aby kobieta była inicjatorką i kierowniczką jakiegos większego przedsiębiorstwa, choć brak nam wielu takich właśnie, w których właściwie jej uzdolnienia doskonale spożytkować by można i choć niektóre kraje — Francja np. — dużo ta-

kim przedsiębiorstwom kobiecym i kobiecej pomysowości zawdzięczają. Sądę że naprzykład fabrykacya wielu rodzajów zabawek mogłaby sporo kobiet zatrudnić, ich gust, zręczność, znajomość natury dziecięcej wyzyskać i zatrzymać w kraju wiele takiego kapitału, który niepotrzebnie dotąd za granicę wychodzi. Naturalnie równie dobrych lub lepszych pomysłów znaleźćby się mogło i więcej. Czas, energia i siły umysłowe licznych kobiecych zastępów, mogłyby z wielką korzyścią ogółu zostać wyzyskane, gdybyśmy nabrały nieco odwagi i wiary w siebie i umiały torować sobie nowe ścieżki zamiast tłoczyć się bezładnie na dawniej wydeptanych i już przepelnionych. Prawda, że brak pomysowości niejednokrotnie i mężczyznom naszym słusznie zarzucają, sądę jednak, iż w świecie kobiecym występuje on jeszcze bardziej rażąco. Kogóż np. nie uderzyło to nieraz, że u nas często w jednym domu znajdują się po dwie i trzy pracownice sukien?

Wogóle, gdyby praca kobiet u nas mniej była bezmyślną i bierną, a częściej samodzielnią i pomyslową, niewątpliwie podniosłaby się w cenie.

Brak solidarności i współdziałania również wywołuje często niepotrzebne trwonienie sił kobiecych. Mężczyźni pracujący w jakimkolwiek kierunku mają różne zawodowe związki i spółki, w których pouczają się i informują wzajemnie, wzbogacając się zbiorowem doświadczeniem i unikając wielu strat i pomyłek. Pomiedzy kobietami jeszcze tego rodzaju instytucje nie istnieją, każda z nich po obranej drodze puszcza się samopas i każda o te same potyka się przeszkody nieraz dość drogo swą nieświadomości opłacając.

Ilużby to naprzykład strat i niedoborów uniknąć można, gdyby istniały związki gospodyń i spółki gospodarcze, mające na celu nietylko wzajemne informowanie się o różnych środkach gospodarczych, o źródłach tanich i dobrych produktów i t. d., lecz i wspólne zakupywanie domowych zapasów. Niejedna niezmiernie ważna sprawa domowego gospodarstwa dotycząca, np. sprawa sług, najłatwiej na tej drodze uregulowaćby się dała. Dziś, gdy olbrzymia większość naszych gospodyń zupełnie po dyletancku zabiera się do dzieła i tylko na tych wiadomościach polegać musi, które własnemu doświadczeniu zdobyła, prawie każda z nich od czasu do czasu staje się ofiarą zręcznej kupieckiej reklamy, a natomiast niejedno doskonałe gospodarskie ulepszenie nie zyskuje poparcia, gdyż nie zostaje wypróbowanem. Takie spółki gospodyń mogłyby stanowić rodzaj biur informacyjnych i stacyj doświadczalnych i przynieść ten pożytek, że ich praca byłaby łatwiejszą, a zarazem racjonalniejszą i donioślejszą ich oszczędność. I w wielu innych zresztą gałęziach pracy kobiecej współdziałanie wzajemne znaczne przyniosłoby korzyści, a umiejętne rozporządzenie czasem, pracą i dochodami pań, stworzyłoby jeszcze niejedno źródło zarobku dla biednych kobiet i dziewcząt, któremi obecnie też same panie w filantropijnych stowarzyszeniach opiekować się muszą i jako jałmużnę wydzielać im tę cząstkę swych dochodów, którą w innym razie w formie zarobku wypłacaćby im mogły. Faktem jest bowiem, że dzisiaj niejedna zdolna i wykształcona kobieta sporo chwil traci na wykonywanie robót, którym osoba nie posiadająca jej kwalifikacji podołałaby z łatwością. Jeśli mowa o fachowym kształceniu dziewcząt i ich zawodowej pracy, zawsze staje w drodze jeden zarzut, któremu pewnej słuszności nikt odmówić nie może. Na co im się przydadzą ich kwalifikacje, gdy wyjdą za mąż, a dom i dzieci całkowity ich czas pochłoną?

Jakkolwiek jednak większość kobiet wstępuje w związki małżeńskie, to jednakże nie każda na to liczyć może, na co coraz więcej życie dostarcza dowodów. Sądę też, iż dotychczas nie było przykładu, aby jakakolwiek praca zarobkowa stała się dla której z nich istotną przeszkodą do poślubienia człowieka, któregooby wzajemną pokochały miłością, choć może nieraz brak fachowego uzdolnienia i możności utrzymania się własną pracą, niejedną z nich skłonił do zawar-

cia pierwszego lepszego małżeństwa — byleby sobie byt zapewnić. Ponieważ to ostatnie nie jest chyba pożądanym objawem, więc pocieszać się można, że w tym samym stopniu, w jakim praca zawodowa kobiet wpływać może ujemnie na ilość małżeństw w ogóle — zwiększyć może procent istotnie szczęśliwych i dobranych par. Jeżeli wychodząc za mąż kobieta widzi, iż może bez uszczerbku dla dochodów wspólnych porzucić swą pozadomową pracę i wyłącznie domowym zajęciom się oddać, to bez kwestyi tak uczynić powinna, zwłaszcza wtedy, gdy obowiązki matki tem silniej do domowego ogniska ją przywiążą.

Byłoby jednak pożądanem, aby panny wychodzące za mąż, korzystając z przedślubnego okresu, przygotowywały się do spełniania przyszłych zadań pań domu, zamiast czas ten poświęcać wyłącznie na przymierzanie różnych fatalaszków i obmyślanie efektownych szczegółów wyprawy. Zdarza się jednak, że nawet i po wyjściu za mąż kobieta musi pracą swą do dochodów męża się przykładać; zdarza się, że pozbawiona macierzyńskich pociech i wolna od macierzyńskich trudów, w domu dostatecznego pola pracy nie znajduje, lub wreszcie, że nieszczeście pozbawi ją materialnego oparcia w osobie męża — a w takim razie poprzednio nabyta umiejętność, wprawa i przyzwyczajenie do pracy, nieocenione usługi oddać jej mogą. Właśnie to stałe oglądanie się na mężką pomoc, na zdobycie podstawy bytu przez przysięgę małżeńską, to całkowite poleganie na mężowskiej opiece, której la-da chwila zabraknąć może, wytwarza niezmierny zastęp owych wykołajonych istot, którym litość nakazuje koniecznie pracy dostarczyć, a które absolutnie do żadnej nie są uzdolnione.

J. Moszczeńska.

SZYBUJMY WYSOKO.

Szybujmy, szybujmy wysoko
Nad zdarzeń znikomych potokiem;
Niech serce, niech wzbija się oko,
Myśl morzem niech wzbiera szerokiem.

Im wyżej wzrok duszy się wzbije,
Tym szersze ogarnia obszary,
Tem głębszem istnieniem ten żyje,
Kto wyżej zatyka sztandary.

Nasz sztandar postawmy na szczytach
Ludzkiego istnienia, w swej treści,
Niech czoło swe kapie w błękitach,
Harmonią przestworzy się pieści.

Z tych wyżyn patrzajmy na ziemię
Jak na nasz chwilowy szlak bytu,
Z otuchą dźwigajmy swe brzemie,
Nim czołem dosiężem zenitu.

Na zgłiszczach przeżytych form życia
Dni nowych dźwigajmy świątynie;
Bezbrzeżne obszary zdobycia
Czekają, niech duch w nas nie ginie.

Budujmy, dźwigajmy te ściany,
Piętrzące się wznosmy prawd mury,
Z przezrzystych porywów skowany
Niech gmach ten pomyka aż w chmury.

Zapadła nad nami noc głucha,
Wzgardziliśmy sobą i Bogiem, —
Hej, bracia, do lotu, kto z ducha
Sam sobie nie pragnie być wrogiem.

Kochajmy, co kochać jest prawem,
I czcimy, co czczonem być musi,
Lot zniżać, niemocy przejawem,
Nieszczęsny kto o to się kusi.

Dusz małych pozbadźmy niemocy,
I skrzydeł serc naszych probujmy,
Z pomroków wyzwolimy się nocy,
Lecz twardo przy wierze tej stojmy.

Precz z chwastem, co głuży nam ducha,
Precz z chłodem, co serca wystudza,
Przed brzaskiem świtania noc głucha
Ustąpi, świt, życie rozbudza.

Nienawiść i krwawe walk bytu
Zapasy pogrzebmy głęboko,
Niech Miłość u pragnień nam szczytu
Rozszerza i piersi i oko.

Miłości więc wznosimy ołtarze,
Niech serce to z sercem się zbrata,
Kto miłość ludzkości niósł w darze,
Ten próżno nie zeszedł ze świata.

Do iskry tej bożej moc wielka,
Co w tętnie serc naszych goreje,
Wyżynnych to żądz żywiciela,
Królestwo w niej boże jaśnieje.

Duch przy niej, nie zaprze się siebie,
I w hańby toń nigdy nie wpadnie,
Treść życia ten tylko odgadnie,
Kto czei ją, a wielbi w swem niebie.

Więc, bracia, szybujmy wysoko,
Lecz lot nasz, gdy miłość oprzędzie,
Dni nowych się stanie opoką,
I przyszłość nam jasną zdobędzie.

Helia.

BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

IV.

Dotąd Władysław nie zwierzał się ze stanu swego serca rodzicom, raz dla tego, że dość długo nie był pewien swoich uczuć, następnie zaś, że nie wiedział, jak te uczucia będą przez Zosię i przez jej rodzinę przyjęte.

Pan Orzelski, zajęty od pewnego czasu od świtu do nocy żniwami, a następnie wozowicą, zanadto miał zaprzątą głowę, kłopotami gospodarskimi, aby zwrócić bacniejszą uwagę na usposobienie syna. Sam lubił gospodarować i sam sobie w pracy wystarczał, nie wymagając od syna ciągłej pomocy, tem bardziej, że wiedział, iż czeka Władysława inna praca w życiu i chciał, by przed tą pracą Władysław w domu wypoczął i nabrał sił nowych.

Za to pani Orzelska, która kochała syna bezgranicznie i pełną troski o jego przyszłość miłością i jako kobieta, była w ogóle bardziej przenikliwa, instynktownie niemal odgadła i domy-

ślała się czegoś oddawna; być może, że i Anusia, od której bystrego oczka nie skryło się zajęcie się Władysława Zosią, mówiła nieraz o tem matce.

Nie wiedziała wprawdzie pani Orzelska tego, jak daleko zaszła sprawa uczuciowa między młodymi, czuła to jednak, że syn jej przeżywa chwilę ważną w życiu i może przełomową.

Więc lękało się jej serce i ścisnęło nieraz obawą niewymowną, czy ta miłość, którą macierzyńskim instynktem przeczuła w sercu syna, nie stanie się dlań siłą nieszczęsną i fatalną, która łamie nieraz ducha i bywa zwieczniem życia i przekleństwem, zamiast być mu szczęściem, mocą i obroną.

Wszakże niedawna wprawdzie, lecz bliższa znajomość rodziny państwa Roztworowskich i Zosi łagodziła nieco tę obawę w macierzyńskim sercu.

Nie zdziwiła się też wielce, gdy po powrocie z Orzechowic Władysław, śmielszy ku niej niżli ku ojcu, przed nią pierwszą zwierzył się ze swej tajemnicy.

Patrzyła długo na jego twarz płonąca, na jego oczy ożywione szczęściem i młodzieńczym zapalem, gdy mówił jej o gorącej miłości, jaką czuje w sercu dla ukochanej — i potem, gdy on, ukląkszy przed siedzącą, całował jej ręce i prosił o błogosławieństwo, poczęła gładzić dłonią jego bujne, rozwichrzone na głowie włosy i ozwała się cichym, serdecznym, wzruszonym nieco głosem:

— Dziecko moje — wiem, jak pełnem twoje serce tego uczucia być musi i jak żywem przeniknione jest ono szczęściem. Ja niczego więcej nie pragnę, jak właśnie twego w życiu szczęścia, twego spokoju i twojej pomyślności. Pomyśl jednak dobrze i zastanów się nad tem, że krok, który uczynić zamierzasz, jest ogromnej doniosłości w życiu; że wybranie sobie dożgonnej i wiernej towarzyszki jest kwestją szczęścia już przez wszystkie dni aż do grobu — i przytem kwestją szczęścia obojga. Do panny Zofii uczułam sympatyę od pierwszego na nią wejścia, ale znam ją mało i niewiele wiem o jej charakterze. Piękność — dziecko moje — jest to rzecz nie trwała i przemijająca z latami, jak woda i sama przez się jeszcze szczęścia dać nie może. Jedno się tylko nie zmienia, a jest niem serce, kochające i dobre, które wespół z wszelkimi zmianami życiowymi wytrwa i pozostanie wiernem i nieodmiennem. Piękność — to jest kwiat, który kiedyś zwiędnie i opadnie; dobroć — to grunt pewny, na którym można budować życie. Jesteś że pewnym, Władku, że ona ciebie w istocie kocha, że charakter wasze są zgodne i że wszelkie nierówności usposobień mogą być zgładzone przez obopólną dobroć? Zastanawiałeś się nad tem, dziecko moje?

Tak doń mówiła z rozrzewnieniem, lecz zarazem z wewnętrzną troską jakąś, pragnąc przewidzieć wszystko i osłonić go przed wszelkim bólem lub zawodem, mogącym spotkać go w życiu — a on słuchał słów jej, ciągle klęczący u jej stóp i patrząc w oczy — tak, jak się słucha słów macierzyńskich — ze spokojem i z serdeczną ufnością. Lecz przy ostatnich jej wyrazach podniósł żywo głowę, wstrząsnął swą bujną czupryną i odezwał się z żywym uniesieniem:

— Ona jest dobra, dobra, bardzo dobra! Matko moja — dodał po chwili, przybierając ton pieszczotliwy i uspokajający — niech mama się nie lęka o mnie i niech będzie pewna jej serca. Wie mama — ciągnął dalej z żywością — że chociaż codziennie mi się zdaje, że ona jest coraz piękniejszą, a dziś wprost najpiękniejszą dla mnie na świecie, to czasem przychodzi mi na myśl pytanie, czy ona jest piękniejszą, czy lepszą? czy więcej posiada w sobie uroku, czy też dobroci? I w końcu wydaje mi się, że ona jest wprost ideałem i piękna zarazem i dobrocią...

— Niech mama się nie śmieje — zawołał po chwili żywo — spostrzegłszy cichy uśmiech, jaki wywołały na jej usta słowa jego pełne zachwytu i zapалу — niech mama mi wierzy, że mam zupełnie świadomość tego co mówię i co czuję. Nie jestem przecie dzieckiem i wiem, że poza pięknością trzeba trwałszych zalet szukać w kobiecie,

a przede wszystkim uczciwego gruntu i serca. I dla tego może tak mię zawsze niemiłe raziły te piękne, ale puste lalki, jakie spotykałem na wielkim świecie. Aż mroziło coś mnie od nich — i nigdy najbardziej zalotne ich spojżenia nie czyniły na mnie głębszego wrażenia, bo czułem, że są fałszywe i kłamliwie: i wiem, że te panny — wyborne pour passer le temps do salonowego flirtu, żadnym są materiałem na towarzyszkę życia, na żonę, od której wymaga się przecie głębi serdecznej i poważnych zasad. A to właśnie wszystko znalazłem w pannie Zofii, znalazłem w niej prócz tego ogromną prostotę, która wpływa na mnie dziwnie kojąco — i dobre, najlepsze na świecie serce, którego jestem dziś pewien i w które wierzę, jak w co świętego.

Mówił te słowa z wielkim zapalem młodzieńczym i szczerością, bo otwierał przed matką całą duszę swoją aż do głębi. Głos mu drżał niekłamaniem wzruszeniem, a oczy błyszczały. Więc pani Orzelska przestała już snuć dalsze szeregi trosk i niepokojów, bo wiedziała to sama najlepiej, że serce kobiety, która szczerze pokocha, jest zdolne dla ukochanego do największych poświęceń i uświęconą przez miłość staje się już wprost dlań aniołem dobroci.

A Władysławowi szczęście nie pozwalało usiedzieć na miejscu i parło go gdzieś na szerokie przestrzenie, wśród których pierś, pełna upojenia, mogłaby odetchnąć głęboko. Szczęście, również jak smutek, w pewnych chwilach są uczuciami odludnemi i potrzebują samotności, aby zgłębić wówczas bezmiar rozkoszy, lub też otchłan bólu.

I Władysław więc poszedł szukać samotności w polu, okrywając się już wieczornym zmierzchem, którego nie rozswiecał księżyc, wschodzący dopiero nad ranem. Później spotkał pana Orzelskiego, wracającego od gospodarstwa na spóźnioną wieczerzę i razem z nim zawrócił ku domowi. Wszakże, idąc z ojcem drogą, nie wspominał ani jednym słowem o tajemnicy, którą chciał mu wyznać dopiero w domu, w obecności matki, na której poparcie w razie potrzeby rachował wiele.

Poparcie to wszakże okazało się zbyt cennym. Pan Orzelski zamiarowi syna przeciwnym nie był, owszem, widać było, że nawet rad mu był, bo poznawszy nieco bliżej pana Roztworowskiego, szanował go i przyjaźń z jego domem cenil. Odezwał się jednak poważnie:

— Nie wiem tylko, mój chłopcze, czy pomyślałeś o stronie praktycznej wszystkiego: panna Roztworowska przywykła zapewne do dostatków, a może i do zbytku, ty nie masz nic, oprócz własnej pracy, więc czy będziesz mógł zapewnić dla niej byt, do jakiego przywykła i ma prawo żądać go i nadal?

Lecz Władysław nie stropił się słowami ojca. Wstrząsnął głową z jakimś energicznym ruchem i rzekł prosto i śmiało:

— Ej, proszę ojca, mam młodość i siły, kocham przytem pannę Zofię gorąco i — da Bóg — nie pozwolę, aby zaznała ze mną niedostatku.

Tyle przytem w jego głosie dzwijało poczucia własnej siły młodzieńczej i szczerzego zapалу, że pan Orzelski nie oponował już więcej i ujmując za głowę schylającego się przed nim syna, uściśnął go mocno:

— Niechże Bóg wam błogosławi, kiedy taka Jego święta wola.

I zwracając się do pani Orzelskiej, która stała tuż, zapytał z próżno ukrywanym wzruszeniem w głosie:

— I cóż ty na to, duszko?

Lecz pani Orzelska miała już w sercu i ustach tylko sprzyjanie ich zamiarom i tylko obronę uczucia ich serc, więc odrzekła ze spokojem:

— Jeśli kochają się szczerze oboje, to nie będziemy przecie stawiali naprzekór ich szczęściu.

Wieczera zeszła na cichej rozmowie i w nieco uroczystym nastroju, który zresztą nie ciążył nikomu. Tylko Anusia, która była zwykle przy wieczerzy najrozmowniejsza, przycichła nagle i czegoś posmutniała. Zauważył to Władysław i oddając wszystkim dobranoc, podszedł ku niej i zapytał z uśmiechem:

— Cóż to, siostrzyczka nie raduje się szczęściem swego brata?

Anusia podniosła jasną swą główkę, spojrzała na niego jakimś smutnymi oczkami i wyszeptala głosem bliskim płacz:

— Bo ty teraz zupełnie mnie kochać przestajesz...

A gdy on spojrzał na nią zdziwiony, dodała tłumiając widocznie łzy:

— Bo odkąd bywasz w Orzeszkowcach, to już mnie unikasz... i rzadko rozmawiasz ze mną i... i nie kochasz mnie już tak jak dawniej...

Tu jej żal wezbrał nad miarę i zaczęła łkać cichutko, zasłaniając splakaną twarzyczkę rękami. A Władysławowi zrobiło się bardzo przykro, bo czuł, że Anusia miała wistocie słusność, przynajmniej pozorną: kochał siostrzyczkę szczerze i miłość jego nie zmniejszyła się wprawdzie bynajmniej, lecz ostatnimi czasy zajęty cały uczuciem ku Zosi, w istocie mniej zajmował się siostrą i mniej z nią przebywał, niż dawniej. Przygarnął ją więc teraz do siebie i odrywając przemocą jej ręce od twarzyczki, zaczął ją uspokajać, starając się obrócić całe to zajęcie w wesoły żart, i zapewniać, że nie przestanie jej nigdy kochać po dawnemu.

Pocieszyła się więc prędko, bo wierzyła jego słowom, i ocierając oczy z resztek łez, odezwała się już niemal wesoło:

— To i ja teraz będę kochać Zosię, bo ona zawsze była bardzo dobra dla mnie... A kiedyś myślała, że ona odbierze mi twoją miłość, to ja gotowa byłam ją nienawidzieć!

Władysław począł się śmiać, uściśkał na dobranoc siostrę i rozeszli się oboje już zupełnie z sobą pogodzeni.

Odtąd częstsze zawiązały się stosunki pomiędzy Kamionką a Orzeszkowieckim dworem, o tyle częste, o ile pozwalały na to warunki życia wiejskiego i czas, najbardziej z całego roku pracą pochłonięty. Państwo Orzelscy byli parę razy w Orzeszkowcach i parę razy przyjmowali u siebie sąsiadów. Częściej widywały się ze sobą panie, bo panowie, zajęci właśnie żniwami, pilnowali roboty w domu. Młodych zaręczono w Orzeszkowcach, lecz tylko w kółku rodzinnym.

Zaś dla nich obojga zaczęły się dni pełne cichego szczęścia, pełne marzeń o wspólnej przyszłości—niby jakaś sielanka uroczą, wśród złotych pól—nieprzerywana już troską żadną, harmonijnie dostrajająca bicie ich serc. Władysław z Anusią bywali kilka razy w tygodniu w Orzeszkowcach i niemal nie uchodzili już tam za gości. Były właśnie żniwa, i nieraz, korzystając z cudnej pogody lipcowej, młodzież w towarzystwie pani Roztworowskiej odbywała dalsze przechadzki w popołudnie, doglądając pracy na łąkach i powracając do domu dopiero wieczorem. Wychodzono zwykle przez ogród w tę stronę pól, które rozciągały się nad wąwozem i z kąd był malowniczy widok na okolice.

Gdy tak szli drożyną polną pomiędzy niezbyt jeszcze miejscami łąny bursztynowych zbóż—to panny nieraz zbiegały z wązkiej miedzy ku kłosom i rwały wśród nich jasne bławatki lub maki polne i wpinały je zaraz sobie we włosy.

A on zostawał wówczas nieco w tyle i idąc obok pani Roztworowskiej, wiódł z nią jedną z tych rozmów cichych, które tak się zgodnie dostrajają do spokoju pól, do pracy wiejskiej i do zorzy rumianego wieczoru, znajdując w tej z nią rozmowie coraz więcej cichego uroku i serdecznego ciepła.

A potem szli do żniw—i gdzie na wyjętym poletku sadowili się na niepowiązanych jeszcze snopach pośród kóp, otoczeni półkolem żeńców i żniwiarek, z których najbliższa, pozdrowiwszy kochaną powszechnie panią i panienki i podziękowawszy za serdeczne „szczęść Boże“, rozpoczynając z niemi zaraz rozmowę o pociechach swych albo troskach—dopóki ręce jej nie odeszły i krople potu nie obeschły na czole. Wówczas schylała się znów z sierpem do kłosów, a rozmowę zaczynała która inna.

Było w tem wszystkim dużo dziwnego uroku, całe morze cichego ukojenia i cały ogrom

prostoty. Siedząc tak na snopie zboża i patrząc na pochylające się pod sierpem kłosa, na szkarłat zórz, ogromnie rozciągniętych na błędnym już niebie, przysłuchując się tym wiejskim rozmowom, Władysław nie mógł opędzić się myśli, że jest to właśnie życie takie, jakim chciał je uczynić dla człowieka Bóg—w którym niczego mu nie brak—bo ma w niem i spokój i ciężką pracę i owoce jej i szczęście. Natomiast wszelkie inne życie jasno mu się ztąd wydało skrzywieniem myśli Bożej i zwynaturzeniem człowieka, szczególnie zaś to życie wielkomiejskie, pełne niesforne go zgiełku, krzyżujących się zabiegów, starć i zapasów nieustannych, a nieraz najlichszych, pełne próżności i błyskotliwej pychy dla oczu, dla ducha zaś czeze, uciskające i zabójcze. Więc pytał sam siebie w duchu ze zdziwieniem, za jaką to niesłychaną winę człowiek skazał siebie bezwiednie na oną mękę i marność i tak zaślepił, że zwie je postępem i chlubą?

A potem przypominał sobie, że i on musi powracać w ten zgiełk i w tę wrzawę dręczącą—i serce ścisnęło mu się wstrętem i gwałtowną tęsknotą za tem cichem, błogosławionem życiem, jakie tu zostawi za sobą. Lecz nagle oczy jego padły na drogą postać dziewczęcą, siedzącą na pobliskim snopie zboża, świetlaną—bo opromienioną blaskiem zachodnich zórz i tą jasnością, jaka się wylewa z miłującego serca i poczuł w tej chwili wyraźnie, że tylko dla niej jednej, tylko za cenę szczęścia z nią i przy niej podejmuje się tej walki, choćby najwstrętniejszej i najcięższej, jak poszedłby zarówno w ogień i wodę—także dla niej...

I przymtem uczuł nagle w piersi takie wzbranie sił utajonych i wewnętrznych, taki szczyry rozpęd młodzieńczej energii, że gotów był choćby zaraz iść na bój i przebój, na wszelką walkę i zapasy ze światem, byle tylko mieć przy swym boku tę drogą i tę umiłowaną, która odtąd stała się jego wiarą—i mocą—i otuchą.

A ona siedziała bliska—cicha i jakby skupiona w sobie, lub może wsłuchująca się w ciszę wieczoru i tych rozmów sielskich—i czując widocznie jego myśl i jego wzrok na sobie, zwróciła zwolna ku niemu cicho uśmiechniętą twarzyczkę i dobre, pocziwe oczęta.

Gdy wracali z tych przechadzek polem już ozmierzchnionem i mrocznym do domu, gdzie na ocienionej werendzie czekała na nich herbata, parujący samowar i pod wieczorek wiejski—on, czując przy sobie jej ramię, nie mógł znów opędzić się poczuć jakiegoś ogromnego zacisza, w którym mieszka tylko spokój i szczęście i dokąd żadna troska, ni trwoga nie ma dostępu.

A pani Orzelska, której serce nie przestawało chwilami ścisnąć się niepokojem co do przyszłości syna, podczas wizyt swoich w Orzeszkowcach starała się jak najbardziej zbliżyć do siebie Zosię, aby poznać jej charakter i jej serce lepiej, niż dotąd. Poznawszy więc jej wielką prostotę i słodycz jej charakteru, wrodzoną dobroć i prawosć serca, dostrzegłszy też mnóstwo innych zalet, drobnych wprawdzie, lecz mających w życiu doniosłość nieobliczoną, pokochała serdecznie dziewczę i była pewną, że ona nie zawiedzie ufności macierzyńskiego jej serca.

Władysław zaś, chociaż nie studiował umyślnie Zosi i kochał ją prosto gorącym, młodem i nierozumującym sercem, jednak i on codziennie niemal dostrzegał w niej jakiś nowy rys wewnętrzny, jakiś odcień charakteru jej lub usposobienia, który chwycił go wprost za serce. Im bliżej ją poznawał, tem stawała się dlań ona nie tylko bardziej ukochaną, lecz coraz droższą zarazem i bliższą jego duszy. Dostrzegł wkrótce, że pod tą prostotą i wdziękiem, które najpierw ujęły go i zachwyciły, ukrywa się natura bardzo wrażliwa i subtelna, nie tak wprawdzie wyrafinowaną subtelnością natur przeczulonych i nerwowych, lecz tą delikatną i zdrową wrażliwością, jaka wypływa z serc młodych, kochających i dobrych.

A może przymtem miłość uczyniła serce Zosi tak bardzo subtelnem i przenikliwym, że odgadrywała z łatwością każdą niemal myśl i usposobienie Władysława i zawsze umiała z dużym tak-

tem i słodyczą zastosować się do jego nastroju.

A on to czuł i ujmowało go to ogromnie, a wdzięczność ku niej napelniała mu serce. Wiedział o tem, że ma duże wady i nierówności w swym charakterze, że bywa chwilami niecierpliwy i byle czem rozdrażniający się, czuł jednak, że miłość ku Zosi i praca nad sobą samym pozwoli mu z czasem wady te opanować i zatrzeć. Tymczasem jednak rozumiał, że w tej pracy dobroć Zosi i słodycz jej charakteru będzie największą dlań pomocą i czuł to doskonale że jedynie ta jej dobroć może być trwałym fundamentem, na którym on może śmiało budować gmach szczęścia w ich wspólnym życiu.

A o jej dobroci upewniał się coraz bardziej. Tak na przykład, zdarzyło się raz, że będąc jednym z pobliskich miasteczek podczas tygodniowego jarmarku, dostrzegł powóz i konie z Orzeszkowic i panią Roztworowską, która miała jakieś sprawunki w sklepach. Ponieważ sam już był załatwił swe interesa, więc postanowił towarzyszyć pani Roztworowskiej i spędzić wieczór w Orzeszkowcach. Kazał więc swoim koniom iść w tyle, a sam wszedł na zaproszenie pani Roztworowskiej do jej powozu. Wyjeżdżając z miasteczka, spotkali na gościńcu wieśniaczkę, która niosła niesprzedaną na targu parę młodych indyczek. Właśnie niedawno przedtem w Orzeszkowcach wyginęły były indyki, i Zosia, która nadzwyczaj lubiła to ptactwo, prosiła już nieraz matkę, aby nakupić młodych i zwolna dochować się znów całego stadka. Teraz więc, ujrzawszy u wieśniaczki w koszu białe główki piskląt, pani Roztworowska zatrzymała ją w drodze, a Władysław, dowiedziawszy się dla kogo mają być kupione, kazał je zaraz swemu człowiekowi włożyć do szarabana i sam dopilnował, aby bezpiecznie zostały ulokowane w sianie wysięciającym spód szarabanu.

Przyjechano do Orzechowic i pani Roztworowska poleciła zanieść jednocześnie żywy nabytek na werendę, gdzie właśnie siedziały obie panny. Władysław zaczął się witać z niemi, lecz właśnie w chwili, gdy podszedł do Zosi, służąca puściła na stół skrzydlatą parę. Zosi na ich widok zabłysły radośnie oczka i nie witając się już z Władysławem, skoczyła ku ptactwu, wołając ze śmiechem:

— Ach jakie śliczne, jakie białe indyczki!

I zaraz zaczęła brać je do rąk, gładzić i cieszyć się niemi,—a on stanął na uboczu i chociaż wiedział, że to pochodzi jedynie z jej żywości, zrobiło mu się trochę przykro, tem bardziej, że już całe trzy dni nie widzieli się ze sobą.

Ale ona upamiętała się po chwili i widocznie zaraz odczuła przykrość, jaką mu wyrządziła mimowolnie, bo cicho zbliżyła się ku niemu, podniosła nań swe oczy, w których zajaśniał ten wyraz niby proszący i tklivy—i gdy po chwili zostali na werendzie tylko oboje, przytuliła ciemną główkę do jego ramienia i rzekła głosiłkiem słodkim i kornym:

No, Władku—przywitaj się teraz ze mną serdecznie...

A jego ogarnęła zaraz wielka ku niej tklivość, więc opasawszy ją ramieniem, począł całować tę ciemną, drogą główkę, a później oczy i rzęsy.

I przez cały już wieczór była dlań podwójnie dobrą i słodką, pragnąc tem nagrodzić mimowolnie wyrządzoną mu przykrość.

A on czuł ku niej za to wdzięczność. Były to wprawdzie rzeczy niewielkie, drobne, ale nie z wielkich wstrząśnień i wypadków, lecz właśnie z takich rzeczy drobnych składa się życie wspólne i one to w końcu nadają ton i harmonijność życiu.

Czasem jednak rozmyślał o rzeczach ważniejszych. Oto dostrzegał coraz wyraźniej, że oprócz tych codziennych zalet i przymiotów Zosi, które są dlań rękojmią domowego z nią szczęścia, znajduje w niej coraz pewniejszą opokę moralną, która tak dlań niezbędną będzie w jego szerszym życiu na świecie. Nieraz w ich cichych, wspólnych o przyszłości rozmowach, słyszał wychodzące z ust tej skromnej, młodej dziewczyny poważne i głębsze wyrazy o obowiązkach życia i powinnościach, mówione przez

nią zawsze z wielką prostotą, lecz i pewnością, zarazem — i dziwił się z początku, z kąd się one u niej biorą? Przecie oto on znał życie sto razy od niej lepiej i dużo już przeszedł i doświadczył uczuć i wrażeń, które jej może nazawsze obce pozostaną, a jednak nie zawsze mógł się zdobyć na tę wiarę i na tę niezachwianą pewność zasad, jaką Zosia wykazywała co chwila. Dopiero zwolna zaczął się domyslać, czyja to ręka nasiała tych ziarn dobroczynnych i zdrowych w duszy dziewczęcej i zrozumiał, że nie w znajomości życia, ale wewnątrz jej istoty tkwi źródło duchowego jej piękna i dobra.

Wówczas czuł, że obok gorącej miłości kuniej budzi się w jego sercu coraz żywsza cześć i szacunek ku całemu domowi i ku niej, która była najmłodszą latoroślą jego i płonką.

— Przecież i ja — monologował wówczas sam z sobą na ten temat — nie jestem w życiu bez zasad pewnych i wiary, a jednak kiedy mi świsnie jakiś wicher w duszy i zwichrzy mi wszystko i rozmięcie, — to stanę nieraz jak obłąkany i nie wiem gdzie droga, gdzie prawda, czy iść na lewo, czy w prawo. A u niej jaka we wszystkim pewność i jakie nieomyślne nigdy widzenie drogi najlepszej i najprostszej! To zadziwiałe!

Zarazem była to dlań rzecz pocieszająca ogromnie. Kochał ją bowiem głęboko i pragnąłby w niej widzieć wszelkie zalety i cnoty, więc dostrzegłszy jaki nowy ich przejaw, radował się wielkiem uradowaniem serca miłującego szczerze. Następnie czuł coraz jaśniej, jak oni są stworzeni dla siebie i jak dopełniają się oboje nawzajem, ona nie miała może zbyt wielkiej stanowczości i hartu w charakterze, lecz on czuł w swej piersi jakieś siły niby uspione i zdrzemnięte, nie powołane dotąd do życia, które miłość ku Zosi zdolna jest w potrzebie rozbudzić — i poczucie to dodawało mu dużo otuchy i wiary w siebie; z drugiej znowu strony wiedział, że będzie miał w niej moralną podporę w życiowej walce i że będzie ona niby jego gwiazdą i przewodniczką najukochańszą we wszelkich wątpliwościach i cieniach życia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

„LILI“ GOETHEGO.

Kartka z życia poety.

(Dokończenie).

Poeta postanowił przeto jeszcze raz uciec i dla tego z zadowoleniem powitał wiadomość, że księżca para Wejmarska z Karlsruhe zawita niebawem do Frankfurtu i że, w skutek otrzymanego zaproszenia, wypadnie mu towarzyszyć im do Wejmaru. Czuł on nieubłaganą konieczność oddalenia się od Lili, czy to na południe, gdzie codzienne opowiadania ojca otwierały przed nim najwspanialsze widnokręgi przyrody i sztuki — czy też na północ, dokąd nęciło go zetknięcie z gronem znakomitych ludzi.

Dzień wyjazdu został już oznaczony i poeta oczekiwał na przybycie z Karlsruhe urzędnika, który go miał zawieźć do Wejmaru, w nowe okolice i w nowe zupełnie stosunki. Pragnąc być w pogotowiu, zwłaszcza że łaskawość księstwa i ich otoczenia czyniły mu tę podróż wielce pożądaną, pożegnał się ze wszystkimi i spakował pośpiesznie rzeczy. Tymczasem upłynął dzień przeznaczony, a za nim drugi i trzeci, a wysłaniec nie przybywał. Nie chcąc się żegnać dwa razy, Goethe całymi dniami z domu nie wychodził; co położenie jego czyniło dość niemiłym, zwłaszcza że ojciec, któremu nieprzybywanie oczekiwanego powozu dawało pochoch do zgryźliwych wycieczek; w całej tej rzeczy upatrywał tylko podejsie i poczytywał to wszystko za zło-

śliwy figiel dworski, mający na celu upokorzenie jego syna.

Tak w ciągłym gorączkowym oczekiwaniu upłynęło przeszło dni osiem. Poeta znudzony dobrowolnym więzieniem, nie mógł już usiedzieć w domu. I kiedy pewnego wieczora otulony w płaszcz przekradał się po ulicach miasta, koło mieszkań przyjaciół i znajomych, miłosna tęsknota zawiodła go pod okna Lili. Mieszkała na parterze domu narożnego; zielona roleta była spuszczone, widział jednak, że świece na zwykłym stoją miejscu. A gdy chciwemi oczyma wpiął się we wnętrze tego pokoju, w którym zbiegło mu tyle rozkosznych chwil przy boku ukochanej, usłyszał ją, drżącym głosem przy klawikordzie śpiewającą pieśń. I serce mu żywiej zabiło, a dreszcz boleści wstrząsnął nim do głębi, była to bowiem własna jego pieśń:

Czemuż w gwar pociągasz mnie za sobą,
Nieprzeparcie tak?

którą niegdys dla niej napisał w zaraniu szczęścia ich i miłości. Zdawało mu się, że Lili śpiewa z większym niż kiedykolwiek uczuciem... każde słowo w głąb serca mu zapadało... ażeby żadnego z nich nie stracić, przysunął ucho tak blisko, jak tylko krata okienna pozwalała. I nie bacząc na snujących się koło niego ludzi, autor tytuł rozgłoszonych dzieł, mający już naówczas sławę największego niemieckiego poety, stał tak pod oknem ukochanej, jak to czynią w młodzieńczym wieku zwykli śmiertelnicy, gdy im pierś wzbierze miłosną tęsknotą. Wreszcie zamilkły słowa pieśni. Lili wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju; daremnie atoli usiłował poeta pochwycić przez gęstą tkaninę zarysy nadobnej jej postaci — cień jej tylko ślizgał się po firankach. Jedynie silne postanowienie zrzeczenia jej się naprawdę, obok myśli, ile osłupienia wywołałoby musiało jego pojawienie się, skłonić go mogło do opuszczenia tego lubego miejsca. A tymczasem w głębi pokoju, miotana wspomnieniami, jakie w niej pieśń obudziła, przechadzała się Lili, nie domyślając się, że tuż za oknem, o parę kroków od niej, stał przed chwilą, trawiony namiętną tęsknotą poeta.

Tymczasem po paru tygodniach daremnego oczekiwania, kiedy hipoteza ojca zaczęła nabierać coraz większego prawdopodobieństwa, Goethe postanowił wybrać się do Włoch i skierował drogę na Heidelberg, gdzie mieszkała panna Delf, niegdys w stosunku z Lili jego powiernica i pośredniczka, z którą przed opuszczeniem Niemiec pragnął gorąco pogawędzić o ubiegłym szczęściu.

Ojciec sam mu nakreślił program podróży i dał na drogę małą biblioteczkę, której czytaniem miał się przygotować i kierować potem na miejscu. Poeta w godzinach wolnych chętnie oddawał się temu zajęciu, a wtedy owe wspaniałe dzieła sztuki, które od najpierwszej młodości znał z opowiadań i rysunków, stawały przed jego duchem i pragnął gorąco zbliżyć się do nich, oddalając się zarazem stanowczo od Lili.

Tymczasem obraz jej we śnie i na jawie jeszcze przed nim się unosił. Panna Delf, ilekroć poeta usiłował skierować rozmowę na Lili, okazywała się niezbyt chętną ku temu, a nawet pochwalała zobopólny ich zamiar rozstania się, dodając, że trzeba poddać się konieczności i wytknąć sobie nową drogę życia. Ta jej rezygnacja z dawnych zamiarów mogłaby się dziwną wydawać, gdyby nie to, że, jako osoba, która zawsze czemś musiała się zajmować i przeprowadzać różne swe plany, ułożyła już z właściwą sobie pomysłowością pewien nowy matrymonialny projekt co do poety.

Naprawdę jednak usiłowała go przekonać, by postępowal w myśl jej zamiarów — wszystko rozbilo się o stanowczość Goethego; gdy bowiem w noc poprzedzającą dzień przeznaczony na ruszenie w dalszą drogę, nadeszła sztafeta z Frankfurtu, w której delegat księcia Wejmarskiego tłumaczył swe opóźnienie i wzywał go do powrotu, poeta w odpowiedzi na zręczną jej argumentację, jakby natchniony, zawołał słowami Egmonta: „Przestań, dziecię!... Kierowane, jak-

by przez duchy niewidzialne, rumaki słoneczne czasu unoszą lekki rydwan naszego losu. Nam nie nie pozostaje, jak chwycić za cugle i to na prawo, to na lewo tak koła zwracać, aby uniknęły tu kamienia, owdzie rozbicia. Dokąd droga prowadzi, któż odgadnie? Wszak woźnica sam ledwo pamięta, z kąd przybył.“

W d. 7 Listopada 1775 r. zawitał Goethe do Wejmaru, które to miasto miało odtąd stać się na stałe miejscem jego pobytu i znalazł tu nie tylko pożądane zapomnienie, lecz i nowy przedmiot miłości. Zaledwie oderwawszy się od Lili i pragnąc ją zapomnieć, z sercem drżącym jeszcze od wzruszeń doświadczonych przy tem zwycięstwie odniesionem nad sobą samym, nad żądzami swemi, poeta ujrzał tu baronową Sztajn. Najznakomitszy z jego biografów anglik Lawes powiada: „Ziemia długo jeszcze jest ciepłą po zachodzie słońca, tak i serce długo jeszcze przechowuje żar namiętności, chociaż słońce, co je rozpałiło skryło się już dla niego“ — i tem tłómaczy to błyskawiczne przerzucenie się Goethego z uścisku Lili w objęcia pani Sztajn, która go na całe dziesięć lat do boku przykuła.

W listach poety do baronowej pisanych, znajdujemy też odtąd echa poprzedniej jego miłości. Już jeden z pierwszych z d. 9 Lipca 1775 r., a więc pisany w osiem miesięcy po wyjeździe z Frankfurtu, dowodzi, że z dawnego uczucia nie już w jego sercu nie zostało: „Wczorajszej nocy leżałem w łóżku, napół już senny, kiedy Filip (służący) przyniósł mi list; napół przytomny przeczytałem — że Lili jest narzeczoną!!! Obróciłem się na drugi bok i natychmiast zasnąłem. Jakże wdzięczny jestem losowi, że tak ze mną postępuje. Jak to się wszystko w porę dzieje. Luby mój aniele, dobra noc Ci!“

Jak więc widzimy następnego już lata płochę dziewczęce zaręczyło się z młodym swym krewnym, gdy zaś narzeczonego umarł niebawem, poślubiło w r. 1778 Strassburskiego bankiera, Türekheima. Jednak z biegiem czasu Lili stała się wzorową pod każdym względem kobietą niepospolicie wykształconą, była dobrą obywatelką swego kraju i wzorową matką, a w zmienionych kolejach losu, których wraz z rodziną swą doświadczyła, wykazała niepospolitą moc duszy i siłę charakteru. Życiorys Lili, przez jednego z jej potomków skreślony, ukazał się w drugim wydaniu w r. 1894.

W d. 26 Września 1779 roku Goethe bawiąc wraz z księciem Wejmarskim w Strassburgu, odwiedził dawną swą narzeczoną. „Byłem u Lili po południu — pisze poeta w liście do baronowej Sztajn — i zastałem ją bawiącą się z siedmioletnim dzieckiem; obok stała matka. Przyjęto mnie z admiracją i ukontentowaniem. Dowiadywałem się o wszystko i zaglądałem we wszystkie kąty, ku wielkiej mej radości przekonałem się, że pocziwe to stworzenie wyszło za mąż szczęśliwie. Mąż jej ze wszystkiego tego, co o nim słyszę, zdaje mi się być dziełem, rozsądnym i pracowitym człowiekiem; przytem jest bogaty, pochodzi z pięknej rodziny, posiada okazały dom i dobrą pozycję w świecie, jednym słowem wszystko to, czego ona potrzebowała! Męża nie było w domu. Zostałem u nich na obiedzie. Po obiedzie poszedłem z księciem oglądać katedrę, a wieczorem byliśmy na pięknej operze Paisiella „L'Infante di Zamora. Na wieczery byłem znowu u Lili i w piękną księżycową noc wróciłem do domu. Nie umiem opowiedzieć pięknych wrażeń, jakie mi towarzyszyły.“

I jeszcze raz wspomnienie owej miłości — ku Lili splata się z życiem poety. Było to w d. 14 Października 1806 r., w dzień bitwy pod Jeną. Od godziny siódmej rano odległy grzmot artylerii zatrzymał mieszkańców Wejmaru. Goethe słyszał ów ryk armat z okropną wyrazistością — kiedy ku południowi odgłos ten przycichł nieco, poeta zasiadł, jak zwykle do obiadu. Zaledwie jednak zajął miejsce przy stole, kiedy grzmot armat począł się rozlegać, tuż nad głową prawie. W jednej chwili stół sprzątnięto — poeta zaś wyszedł przejść się po ogrodzie. Kule świsnęły po nad domem; bagnety uciekających prusaków błyszczały nad murem ogrodowym. Na

wzgórzech panujących ponad Wejmarem, Francuzi umieścili kilka dział, z których mogli byli dawać ognia na miasto. Był to cichy jasny dzień; na ulicach było pusto, jakby ludność miejska wymarła; wszyscy skryli się pod dach. Co chwila grzmot dział przerywał to milczenie; przelatujące kule działa tu i owdzie uderzały w budowlę. Ptaki tymczasem spokojnie śpiewały po drzewach i głęboki spokój przyrody dziwnie jakoś odbijał wobec gwałtów wojny.

Pośród tej uroczystej ciszy kilku huzarów francuskich wjechało do miasta, dla przekonania się, czy nieprzyjaciół już z niego ustąpił. Wkrótce po nich cały szwadron przeleciał galopem przez ulicę. Wiele domów już gorzało. Począto odbijać piwnice. Rozpoczął się rabunek. Wtem przed domem Goethego zatrzymało się paru huzarów francuskich i jeden z nich, młody oficer, zawiadomił poetę, że jego dom został przeznaczony na kwatery dla marszałka Angereau i że będzie wolnym od rabunku. Goethe towarzyszył mu do pałacu książęcego.

Oficerem tym był młody Türekheim—syn Lili.

*

*

*

Goethemu niejednokrotnie zarzucano, że był wysubtelnionym egoistą. Rod posuwa zarzut jeszcze dalej twierdząc, iż poeta nieraz fałszował prawdę, dla ukrycia wyraźnych rysów własnego samolubstwa. A przejawiać się ono miało zwłaszcza w stosunkach z kochanymi przezeń kobietami.

Na zarzut ten nawet odpowiadać nie warto. Ten kto wyżej skronią, ponad tłum wybiega, widniejszy cel stanowi dla rozmaitych nikczemnością zaprawnych pocisków. Szlachetny nieskalany charakter Goethego najlepiej maluje się w stosunku jego z Schillerem, którego czysty duch byłby odczuł najmniejszą skazę na kryształ duszy genialnego przyjaciela.

Goethe posiadał nieugięty charakter i powoli doszedł do zupełnej władzy nad sobą samym. „Chcę być panem siebie—zwykły był mawiać—kto nie może rządzić sobą samym, nie zasługuje na to, by rządzić innymi. Ale przy temperamencie Goethego podobna moc nad sobą nie była wcale rzeczą łatwą; poeta sam o sobie powiedział, że byłby o wiele szczęśliwszym, gdyby na świecie nie było wina i łez kobiecych. Nigdy od nich zupełnie nie mógł się uwolnić; był synem kraju nadreńskiego, od dzieciństwa więc do wina się przyzwyczaił; był poetą, a więc nigdy nie mógł się uwolnić od niewieściego uroku; ni wino wszakże ni urok niewieściego oczu nie upajały go do tego stopnia, by miał utracić panowanie nad sobą. Zarzucano mu też, że i w stosunku z kobietami nie dał się powodować uczuciu, jeżeli widział, że go zbyt daleko unosiło. Odsunął się od gorąco ukochanej Fryderyki Brion, wmówiwszy w siebie, że związek ten szczęścia mu nie da i uległ, jak to widzieliśmy, perswazyom *życzliwych* i rodziny w stosunku z umiłowaną Lili.

Powodując się samem tylko uczuciem, powinien był jedną z nich poślubić. Czy byłoby się to niekorzystnie odbiło na dalszej jego twórczości? Czy byłby dosięgnął tej wyżyny, na jakiej go dziś widzimy? Nie podobna odpowiedzieć na te pytania! To jedno tylko jest pewnem, że jeżeli Krystyna Vulpius mogła go przez życie całe utrzymać przy swoim boku, w związku z Lili albo Fryderyką byłby się czuł równie szczęśliwym, a może i szczęśliwszym jeszcze.

O Goethem powiedzieć można, że chociaż miał on szczęście w miłości, jednak miłość trwałego szczęścia mu nie dała. Przez całe życie czuł on miłości tej potrzebę—takiego jednak szczęścia, jakiego pragnął, nie znalazł ani w związku z panią Szeitin, ani też z późniejszą żoną swoją, Krystyną Vulpius. A byłaby mu je dała bez wątpienia Lili, albo Fryderyka. Chyba że sam poeta grał tu w młodości w stosunku do siebie rolę Carlosa z „Clavigo“, który woła: „Żenić się! Jak to! żenić się właśnie w porze, kiedy życie tylko co ci się odkrywa! Zasklepić się

w domu, wtedy kiedy zaledwo na świat boży wyszedłeś! Ze kochasz dziewczynę, to rzecz bardzo naturalna; żeś jej obiecał ożenić się z nią—toś zrobił głupstwo; ale dotrzymać obietnicy byłoby czynem prawdziwego waryata!”

Wielu biografów poety przyznaje słuszność tym słowom, tłumacząc Goethego tem, że niewierność dla geniusza byłaby cięższą jego winą, niż niewierność dla kochanki.

Taki jest podług nich kodex moralności dla geniusza.

Władysław Nawrocki.

Z AMERYKI.

New-York w Sierpniu.

Kapitałiści amerykańscy starają się wszystkie gałęzie handlu i przemysłu zmonopolizować, tworząc coraz potężniejsze trusty (monopole), których członkowie rozporządzają niekiedy majątkiem, wynoszącym 30 do 50 milionów dolarów. Poniżej podajemy utworzenie się kilku ważniejszych trustów, które zorganizowane zostały w niedawnym dopiero czasie, a mianowicie:

1). Trust, obejmujący wyroby parasolek i deszczochronów z siedzibą w New Yorku, i tworzony na prawach stanu New Jersey. Kapitał obrotowy wynosi dolarów 2,000,000. 2). Olbrzymi trust, obejmujący owsianą mąkę, kaszę i inne artykuły spożywcze, potrzebne do przyrządzenia i robienia potraw, znajdujących się w codziennym użytku. Trust ten utworzył się w Chicago z kapitałem wynoszącym dolarów 33,000,000. 3). Syndykat nowojorski wykupił za dolarów 23,000,000 kolej Sagua, ciągnącą się od miejscowości Cairbien w głąb kraju w prow. Santa Clara na wyspie Kubie. Ta sama kompania kapitalistów wykupiła kolej od Matanzas do Sabanilli, przechodzącą przez najbogatsze okolice, nadające się pod uprawę trzciny cukrowej, za cenę dolarów 5,000,000. Nie dość na tem; syndykat ten traktuje także o zakupno kolei od Cientifuegas do Villa Clara, ofiarując za nią dolarów 3,000,000. Ażeby zaś i ruch dowozowy z Stanów Zjedn. objąć w swoje ręce, kapitałiści ci zakupili wszystkie statki, należące do linii „Herrera“, tak że będą tym sposobem samowładnymi panami na północnem wybrzeżu tej wyspy. Głównymi akcyonariuszami tego trustu są pp. C. Whitney, P. A. Widener i Elkins z Philadelfii. 4). Międzynarodowa kompania zajmująca się fabrykacją papieru stara się wykupić wszystkie fabryki, które do obecnej chwili nie przystąpiły do trustu. Wykupiła ona „Moosehead Pulp Company“ w Solon Me, fabrykę papieru, której wielkie maszyny pędzone są przy pomocy siły wodnej. Nabyła ona również nowe patenta Misterlicha i Kusella, które przerabiają masę papierową chemicznie, przez oddziaływanie siarkanów. Wskutek zjednoczenia prawie wszystkich wyrobów papieru w rękach kilku przedsiębiorców, cena tego tak niezbędnie potrzebnego materiału została w ostatnich tygodniach nadzwyczajnie podwyższoną, pomimo, że ci sami fabrykanci papieru ten za granicą taniej sprzedają niż w Stanach Zjednoczonych. Przedstawiciele Stowarzyszenia amerykańskich wydawców gazet odbyli naradę w zeszłym tygodniu w Washingtonie, na której powzięto uchwały, aby specjalny komitet przedstawił tę sprawę prezydentowi w tej myśli, aby cło od papieru do drukowania i innych materiałów piśmiennych, przysyłanych z zagranicy, zostało znacznie niższe. Mają oni głównie na myśli papier wyrabiany w Kanadzie, który o wiele jest tańszy niż w Stanach Zjednoczonych. 5). Znany w Chicago handlarz zbożem Józef Leiter zorganizował w Chi-

cago olbrzymi trust, obejmujący wszystkich ważniejszych dostawców mleka. Kapitał zakładowy wynosi dolarów 10,000,000. Ceny mleka nie mają być jednak podwyższone. Kompanie, wykupując mleczarzy objęły zarazem i dostawę mleka do odpowiednich domów. 6). Wszecławładny trust nie zapomniał także o wyrobach zlanego żelaza i stali. Oto utworzyła się w New Yorku kompania kapitalistów pod nazwą „United States Cast Iron Pipe and Foundry Co.“ z kapitałem dolarów 30,000,000. Z tego ogólnego kapitału 6 milionów dolarów ma być obróconych na wykupienie fabryk, które jeszcze do tego trustu nie przystąpiły. Nowa kompania podejmuje się rocznie dostarczać 750,000 ton samych rur żelaznych. 7). W mieście Albany, N. Y., zarejestrowaną została w New Yorku nowa kompania wyrobów tytoniu z kapitałem dolarów 24,000,000 a z 6-cio procentowymi odsetkami od 100-dolarowych akcji. Do kompanii tej należą prawie wszyscy ważniejsi fabrykanci cygar i tytoniu w stanie N. Y. 8). W stanie Ohio i Virginia utworzył się trust fabrykantów cegieł z głównym zarządem w Martin's Ferry z kapitałem dolarów 100,000. Obejmuje on wszystkich fabrykantów cegieł w dolinie Ohio, mających swe fabryki w Bellaire, Martins Ferry, O. i Wheeling, jako też i Moundsville. W. Va. (Ameryka).

Jak donoszą z Kurytyby przybywają z Europy prawie co tydzień gromadki naszych wychodźców i rozpraszają się po istniejących koloniach—Wicekonsulaustro-węgierski w Kurytybie p. Wilhelm Pohl opuścił w kwietniu b. r. dotychczasowe swe stanowisko i wyjechał do Europy. Następcą jego w Kurytybie, jest Lwowianin p. Dr. Roger Baron Battaglia były dyrektor Polskiego Towarzystwa Handlowo-geograficznego we Lwowie a obecnie attaché konsularny przy generalnym konsulacie w Bukareszcie.

Nad ujściem rzeki Iguassu do Parany w miejscowości, gdzie leżą ruiny dawnego jezuickiego miasta St. Maria zakłada pewne towarzystwo angielsko-amerykańskie koloniję. Ujście Iguassu do Parany jest bardzo ważnym punktem handlowym. Przed kilku laty powstał plan wśród Polaków parańskich urządzenia ekspedycji w te strony i założenia kolonii polskiej. Plan ten nie doszedł do skutku z powodu braku odpowiednich środków.

W okolicach Porto Uniao nad Iguassu zakłada inżynier miejski Baronsini pełnomocnik senatora Teixeira, w olbrzymich dobrach tegoż nową koloniję polską „Villa Zulmira“ na następujących zasadach: chłop kolonista otrzymuje na własność 10 morgów ziemi, dom, narzędzia rolnicze a nadto dwuletnie utrzymanie — w zamian zato ma kolonista pracować przez te dwa lata, po trzy dni w tygodniu na gruntach senatora. W ten sposób przyszedł właściciel łatwym sposobem do robotnika w dziewczynych lasach. Gdyby istniało Towarzystwo kolonizacyjne rodacy nasi nie potrzebowaliby zaprzedać się w zależność.

Nie dawno założone w Kurytybie towarzystwo gimnastyczne funkcyonuje już należycie; odbywają się stale ćwiczenia z kilkunastu uczestnikami. Do organizacji przyczynił się głównie p. Dybiewicz niedawno przybyły z Krakowa. W kolonii Rio Claro istnieje również od niejako czasu towarzystwo gimnastyczne.

Historja kolonizacji w przebiegu swoim pozwala stwierdzić fakt, że kolonie były zawsze ziarnami, z których wyrastało nowe społeczeństwo, że ziarna te na najodleglejszą nawet ziemię rzucone nie traciły swej plenności, ale rozrastały się bujnie, dzięki tkwiącej w nich energii potencjalnej, która potrzebowała tylko lepszych nieco warunków, ażeby wyjść na jaw i przerodzić się w energię kinetyczną, żywą i do samodzielnego rozwoju zdolną. Że tak jest w istocie, świadczą dzieje Stanów Zjednoczonych.

Kiedy przed 300 laty pierwsi osadnicy, zwani ojcami narodu, przybyli na okręcie *May Flower*

(Kwiat majowy) do Ameryki północnej i założyli tam pierwszą kolonię angielską — nikt zapewne nie przypuszczał, że w tej garstce osadników tkwi ziarno przyszłej potęgi Stanów Zjednoczonych, że jest to zarodek przyszłego państwa Yankesów, którzy tak wysoko umieli dziś już podnieść swój sztandar gwiazdzisty, a niewątpliwie wielką jeszcze rolę odegrają w dziejach ludzkości.

To samo powiedzieć można o koloniach holenderskich w Afryce południowej (Kapland) i o Kanadzie francuskiej.

Taka energia potencjalna tkwi zawsze w wychodźstwie.

Tkwi ona też i w wychodźstwie polskiem potrosze, ale coraz szersze przybiera obecnie rozmiary i stawia coraz śmielsze kroki za oceanem, zwłaszcza w Paranie. Dużo przedtem sił poszło na marne, pionierowie wychodźstwa rozsypali się po Ameryce północnej, nie mogąc nigdzie w poważniejszej skupić się liczbie i dać początek nowemu społeczeństwu polskiemu.

Ale doba tej nieświadomej emigracyi minęła już niepowrotnie z chwilą, kiedy z niemałym podziwem dowiedziano się w kraju, że lud szukający chleba za oceanem, samoistnie i jakby opatrnościowo skupiać się zaczął w brazylijskim stanie Parana.

Przybywali tam wychodźcy z nad Wisły i Sanu, z nad Gopła i Warty, z biednych wsi galicyjskich i z prastarego Ślązka — szli zewsząd bezwiednie, jakby za gwiazdą przewodnią i w krótkim czasie osiedliło się tam blisko 80 000 ludności polskiej na 225,000 ogólnej ludności stanu. Stosunek ten daje żywiołowi polskiemu przewagę nad innemi narodowościami.

P. H.

MYŚLI.

Na wszelki życia mrok,
Zwątpienia straszną noc,
Zachować ducha moc
I jasny dziecka wzrok.
Niech ci wspomnienie kołyski
Przyniesie matki uściski
Na wszelki życia zmrok.

Ad. Asnyk.

Najpiękniejszy dar jaki mamy od Boga, wspólniejszy od wszelkich tryumfów wiedzy, jest serce, które z własnego wnętrza przechyla się przez czucie w serce bliźniego.

Ernest Ziel.

Zaufanie jest najpiękniejszym klejnotem w koronie królów, jedynym wezglowiem, na którym spoczywamy bez troski, i nie ma tam szczęścia gdzie ono się odwróciło, i nie ma nieszczęścia tam gdzie uśmiech jego się zjawił.

Th. Fontane.

Bądź woli twojej-panem, a sumienia-sługą.

Ebner-Eschenbach.

Dozwól by twe sumienie prowadziło wolę.

Alwina Hebrerer.

Kłamstwo ma niepewne stopy, a jednak jak leci daleko.

Margareta Marcus.

Nie jeden, który wiele stracił, nie mówi, że wiele zgubił, lecz że jest zgubiony.

Ta sama.

Nie jeden nie jest u siebie nawet w własnym domu.

Ta sama.

Prawdziwa miłość jest ta, która nie ofiaruje mniej niż dać może.

Berta Suttner.

Nie ten jest szczęśliwym, który posiada to czego pragnie, lecz ten, który nie pragnie tego czego nie ma.

Frida Schanz.

Przyszłość należy do kobiet, nie dlatego, że są kochane, że są równouprawnione towarzyski życia, że są niekiedy despotycznymi władczyniami, lecz dlatego, że są matkami i że przyszłe pokolenie w ich sercach spoczywa.

Camilla Bert.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 7-my.

Nakładem Michała Glücksberga, Wydawcy Bluszczu

wyszła z druku książka p. t.

Z MARZEN ŻYCIA

POEZYJE

SELIMA

(Władysława Bukowińskiego).

Cena egzemplarza rs. 1 k. 20, pocztą rs. 1 k. 30. Do nabycia u Wydawcy i we wszystkich księgarniach.

OD WYDAWCY.

„Bluszczy“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Na werendzie. (Pogawędka), przez ??—Praca kobiet, przez J. Moszczeńską (dokończenie).—Szybujmy wysoko, przez Helia.—Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — „Lili“ Goethego. Kartka z życia poety (dokończenie).—Z Ameryki.—Myśli.

Dodatek obejmuje: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 7-my.—Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja obiadu.

Przegląd Mód.

Nowości w materyałach.

Chociaż słońce darzy nas jeszcze jasnymi ciepłymi promieniami, jednak zbliża się szybkim krokiem smutna jesień, a ta aczkolwiek nieraz nawet piękna i ciepła, przynosi z sobą zmiany



Nr 2. Pelerynka wizytowa i kapelusz dla młodych osób. (Opis w Bluszczu Nr 36).

nie tylko w atmosferze. Nasze mieszkania wewnętrznie a nasze szaty zewnętrznie ulegają zupełnemu przeobrażeniu. Dostyc jest przejść się obecnie po ulicach Warszawy, aby ujrzeć tę zmianę, wywołaną zbliżającą się jesienią. Wystawy sklepowe zaopatrzone w sezonowe nowości, warszawianki spiesznym krokiem zdążające na przegląd magazynów, oto nieomylnie zwiastuny zbliżającego się otwarcia jesienno-sezonu.

I my zaczniemy od przeglądu najświeższych jesienno-nowości w materyałach nagromadzonych w wykwiutnym magazynie p. Edmunda Makowskiego, który w każdym sezonie najpierwszy zaopatruje swoje składy w najmniejsze towary.

Na kostiumy spacerowe, z gładkich materyałów najmłodniejsze są bardzo dystygowane, lśniące sukienki, zwane „draps des dames soleil,” piękne „cover coats,” „serge,” podwójne kaszmiry, miękkie wigonie i sicilieny.

Z materyałów deseniowanych a na ten sam użytek przeznaczonych są wspaniałe aksamity paskowane, kaszmiry i sicilieny deseniowane



Nr 1. Strojeny toczek do ubrań ceremonialnych. (Opis w Bluszczu Nr 36).

w mniejsze lub większe grochy, pół-jedwabne matelassé, oraz kaszmiry i mohairy paskowane.

Wszystkie te powyżej wymienione materyały, są wykonane w najrozmaitszych kolorach i odcieniach ciemnych, spokojnych, jako najczęściej odpowiadających kostyumom w rodzaju angielskim, tak powszechnie dziś przez nasze panie przyjętym.

Na suknie wizytowe używają się tego samego rodzaju materyały, tylko przeważnie w kolorach bardzo jasnych, zwanych „Pastel,” oraz śliczne angielskie welwety gładkie i prążkowane, także w jasnych, nikłych kolorach pastelowych.

Z tychże samych welwetów będą miały wielkie powodzenie bluzki, zastosowane do odmiennych, gładkich spódniczek.

Na suknie czarne widziałam przesliczne i w wielkim wyborze nagromadzone materyały:



Nr 3. Ubranie na koncert lub do teatru. (Opis w Bluszczu Nr 36).



Nr 4. Sukienka dla dziewczynki od 1—2 lat. (Opis w Bl. Nr 36).

Nr 5. Fartuszek dla dziewczynki od 11—12 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 54—56).

Nr 6. Sukienka dla dziewczynki od 12—13 lat. (Opis w Bluszczu Nr 36).

„matelassé,” „gauffré,” „serge,” „covert coats,” gładkie lub w grochy deseniowane i wiele innych fantazyjnych materyałów, jakich niepodobna opisać, a tymbardziej wyobrazić sobie bez widzenia.

Jako „haute nouveauté” tego sezonu są bardzo piękne, odpasowane, suknie z „draps des dames” haftowane, lub sukienkami aplikacjami nałożone. Suknie tego rodzaju należą do strojnych i widziałam je w kilku różnych jasnych i ciemnych kolorach, a także i w kolorze czarnym.

Z materyałów okryciowych najmłodniejsze są: „draps des dames,” sukna, wigonie, „draps soleil,” różne materyały „matelassé,” oraz sukna w jasnych, pastelowych kolorach, szczególnie nadających się na strojne okrycia dla młodych osób. Dla mężatek i osób starszych, okrycia strojne robić się będą z przeslicznych aksamitów, zwanych „velours du Nord” i zawsze praktycznych angielskich pluszów.

Jak widzimy tegoroczna moda przyniosła nam wiele ładnych, lecz spokojnych klasycznych tkanin. Fantazyja i „imprévu” zostały usunięte na drugi plan. Naturalnym



Nr 7. Żakiet jesienny.
(Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 37—43).

Serweta na stół krzyżową robotą w guście arabskim.

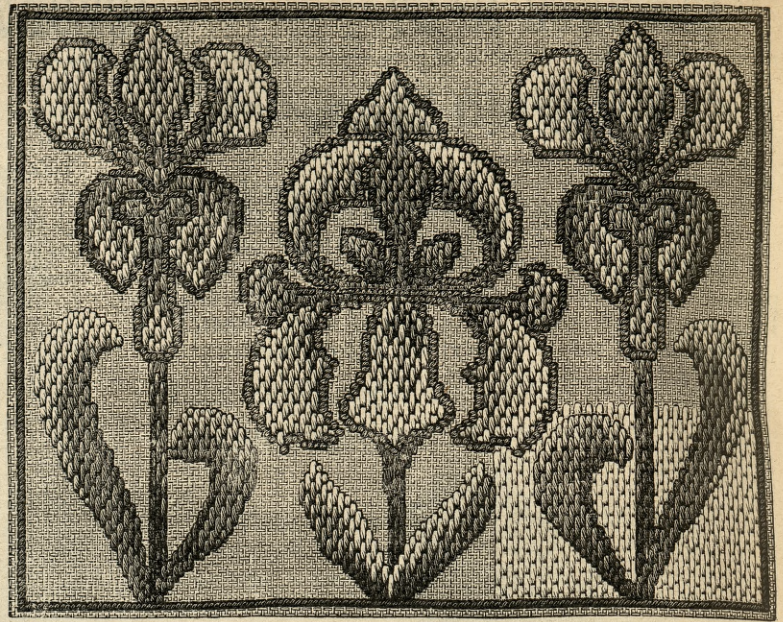
Rycina Nr 9. (Deseń odw. str. tabl. Nr 8 i 9).

Na tło serwety bierze się ładną etaminę, lub też jakiś inny materiał kanwowy; dobra jest także zagraniczna kanwa „Jawa,” lub też „Aida.” Należy zacząć haftować od środka serwety (według wzoru Nr 8), a ukończywszy cały deseń środkowy, haftuje się szlak wijący się w piękne arabeski, według wzoru Nr 9. Do haftu można użyć francuską włóczkę, lub przędzę wełnianą.

Ekran krzyżową robotą, w guście gobelinów.

Rycina Nr 11

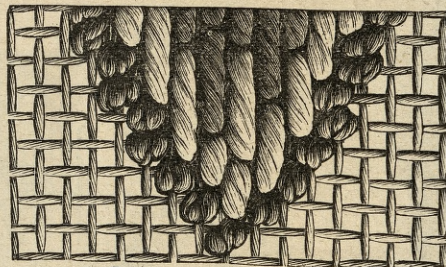
Ramy ekranu 100 cent. wysokie, zrobione z ciemnego drzewa, ze



Nr 8. Wzór haftu na poduszkę (do ryc. Nr 10).
Deseń odwrotna strona tablicy Nr 4 i 7.



Nr 9. Serweta na stół krzyżową robotą.
(Deseń odwrotna strona tablicy Nr 8 i 9).



Nr 10. Część haftu do ryc. Nr 8 (naturalna wielk.).

złożeniami obwódkami; u dołu ozdobione szlakiem 18 cen. szer., u góry zakończone ażurową galerijką. Na tło do haftu używa się kanwę pojedynczą, na której haftuje się kolorową filozelą podane wzory. Krajobrazy starannie wykonane dobrze dobranymi cieniami ładnie wyglądają i zupełnie naśladują gobeliny. Każde części ekranu długie 53 ct., szerokie 23 cen. Gdy haft jest już zupełnie wykonany oprawia się każdą część w karton, podbija z lewej strony kolorowym atłasem, a nakłada się w drewniane ramy.

Kostium podróżny i kapelusz.

Rycina Nr 12.

Bardzo szykownie wygląda powyższy



Nr 11. Ekran w guście gobelina.

kostium z popielatego szewiotu, lub z francuskiej wełny „covert-coat.” Spódniczka gładka, u dołu naszyta trzema szerokimi pliskami z tego samego materiału. Wierzchnia sukienka krojem „princesse” (na materii) z lewego boku ukośnie wycięta, zakończona również dwiema pliskami. Przód staniczka przybrany pliskami ozdabiają podłużne pętlice z materiału, zakończone metalowymi guzikami. Kołnierzyk stojący, wysoki, rękawy ubrane pliskami. Kapelusz popielaty, ubrany węzłami z białej i czarnej materii, oraz wysokimi skrzydełkami, rondo kapelusza z tyłu i z boku mocno podniesione i podpięte rozetami z czarnej materii.

Płaszcz podróżny.

Rycina Nr 13.

Piękny i zupełnie nowy fason płaszcza przedstawia niniejsza rycina. Płaszcz zrobiony z kurtu, lub cienkiego płótna; główne przybranie stanowią dwie fałbany u dołu szerokie, zwężające się coraz więcej u góry, zapięty na boku i za-



Nr 12. Kostium podróżny formą „princesse” i kapelusz.

Nr 13. Płaszcz podróżny.

kończony śpiczastymi wyłogami. Kołnierz stojący, wygięty, zakończony sutą, tiulową karkardą. Cały płaszcz wokół, wyłogi i rękawy, wyszyte jedwabną taśmą.

**Palto jesienne (sak) w stylu „empire”
najmodniejszy fason.**

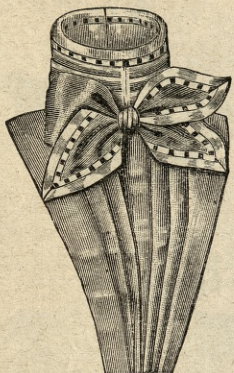
Rycina Nr 14.

Palto dosyć długie, z popielatego sukna, podbite atlasową podszewką niebieskawo-popielatego koloru. Po bokach rozcięty. Wyszyty wązkami pliskami 2 i pół centimetra szerokości, z tego samego sukna, na plecach i rękawach także same przybranie (aplikacje). Na przodzie zapięty na cztery guziki z perłowej masy i ozdobiony zaokrąglonymi wyłogami. Kołnierz wysoki, u góry wygięty.

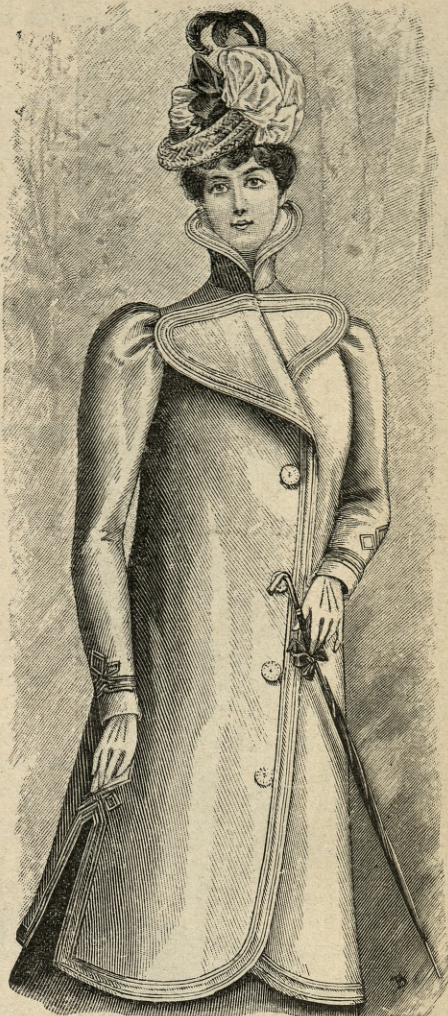
Żabot z indyjskiej, jedwabnej materii.

Rycina Nr 15.

Jest to bardzo odpowiednie przybranie do sukien angielskich i sportowych kostyumów. Żabot niniejszy zrobiony z ponsowej, indyjskiej materii. Kołnierzyk i krawat, obszyty ażurową wstaweczką i wążutką, morową wstążką.



Nr 15. Żabot z indyjskiej materii.



Nr 14. Palto jesienne (sak) w stylu „empire.”



Nr 17 i 18. Modne jesienne peleryny.

Żabot z gazy i koronki.

Rycina Nr 16.

Również bardzo gustowny żabotik przedstawia niniejsza rycina. Kołnierzyk stojący z białej materii, przykryty jedwabną, kremową koronką, podgarniowany jedwabną, kremową gazą; końce z takiej samej gazy, ułożone w drobne fałdy, obszyte koronką i zakończone szerokim węzłem.

Modne jesienne peleryny.

Rycina Nr 17 i 18.

Rycina Nr 17 przedstawia elegancką pelerynkę z jasnego sukna, na jedwabnej, kolorowej podszewce. Zaszewki na ramionach czynią je na figurze zupełnie obcisłą. Brzeg całej pelerynki przybrany jest trzema falbankami z tego samego materiału, po nad którymi naszywa się ażurową pasmante-

ryą. Takież przybranie powtarza się na pelerynce poniżej ramion. Wysoki, wygięty kołnierz (à la Médicis), podszyty dwiema falbankami.

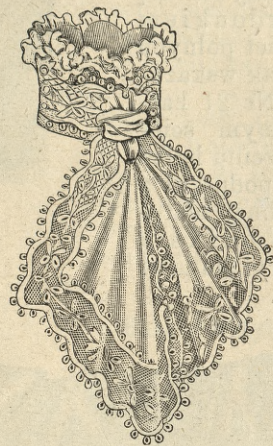
Zupełnie taki sam fason jest pelerynki ryciny Nr 18, z piaskowego koloru sukna, podbitej ciemno-różową materią. Zamiast falbanek, ozdobiona jest zakładeczkami i pasmanterią. Kołnierz wygięty, wysoki, podszyty wewnątrz koronkową falbanką.

Kostyum jesienny i kapelusz.

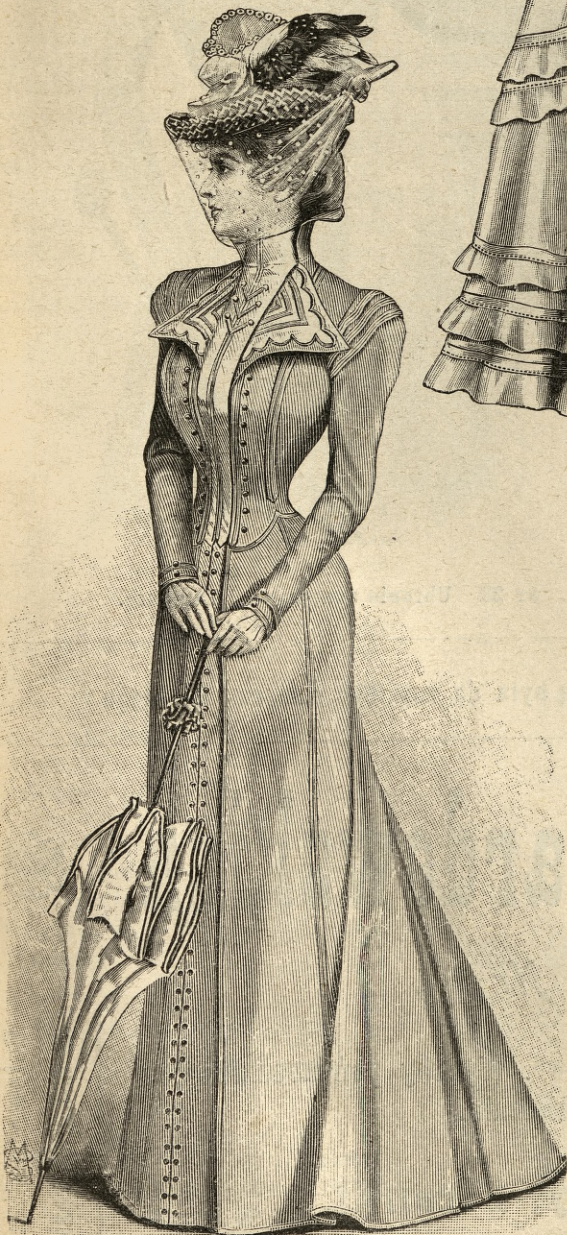
Rycina Nr 19.

Suknia jednostajna ze staniczką formą „princesse,” z cienkiego sukienka, lub kortu w paski. Staniczek, oraz boki spódniczki, odznaczone kilkorazowym przestębnowaniem. Przód spódniczki, przybrany dwoma rzędami guziczków. Staniczek bardzo upiększają: kamizelka i wyłogi z białego atlasu, wyszyte pliseczkami z tego samego materiału. Brzegi staniczka zakończone guziczkami. Rękawy na ramionach i przy rękę kilkakrotnie zastębnowane. Wysoki kołnierz (à la Médicis) uzupełnia całość.

Elegancki kapelusz z świecącej, fantazyjnej słomki, przybrany białym tiulem, z boku skrzydło stalowo-czarne.



Nr 16. Żabot z gazy i koronki.



Nr 19. Kostyum jesienny i kapelusz.



Nr 20. Weselne ubranie.
(Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11-17)

Weselne ubranie.

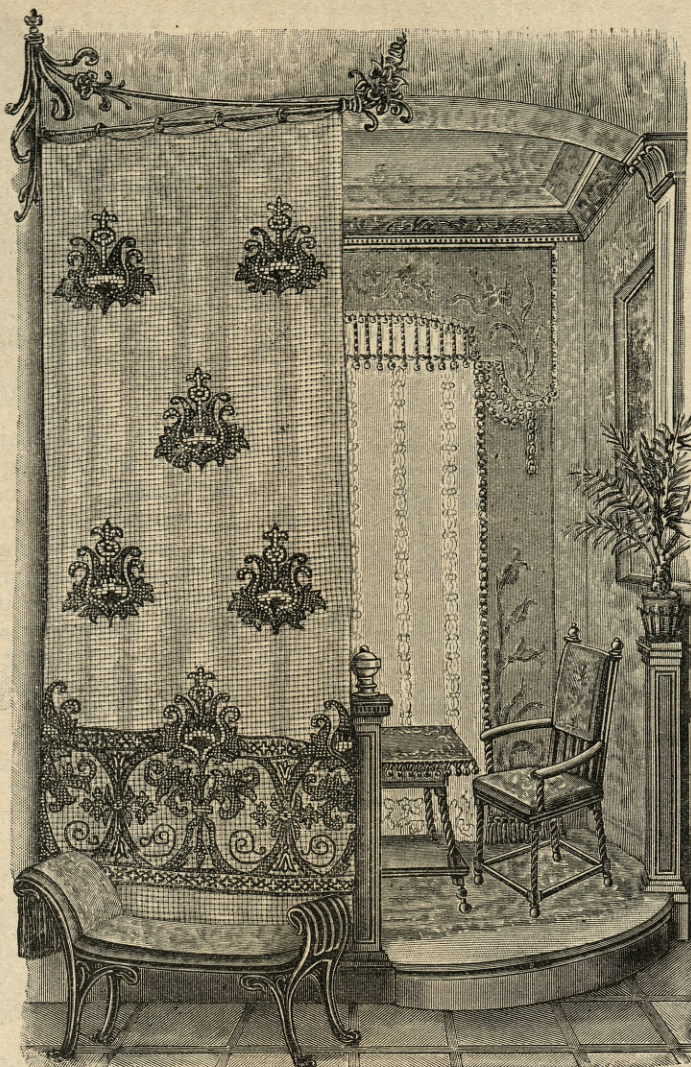
Rycina Nr 20. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11—17).

Bardzo strojnie wygląda „princesse“ z czarnego jedwabnego tiulu, na jasno-lila materyi. Czarny, jedwabny haft, którym cała suknia bogato jest przybrana, nadaje jej ton poważny i czyni ją odpowiednią dla osób starszych. Staniczek na przodzie wycięty, podłożony „crêpe chiffon koloru jasno-lila; krawat podłużny z tej samej „crêpe chiffon“ zakończy oryginalną całość.

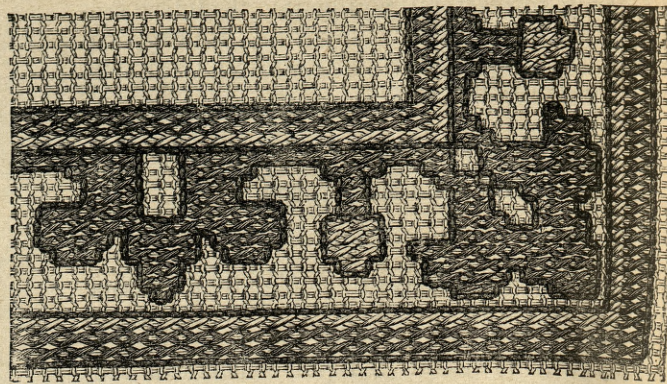
Poduszka na kanapę, krzyżową robotą.

Rycina Nr 21 i 22. (Deseń odwr. str. tabl. Nr 3).

Wedle wskazanej ryciny można zrobić nadzwyczaj gustowną poduszkę na kanapę do salonu, lub gabinetu. Na kanwowym materiale 52 centymetry długości, 42 centymetry szerokości, wyszywa się jedwabnym kordonkiem przesliczny bukiet polnych blawatków. Szlak wskazany na rycinie Nr 21 haftuje się odmiennym ścięciem. Po ukończeniu haftu robi się spód poduszki z zielonej, jedwabnej materyi. Marszczona bułka z tej samej materyi stanowi jej zakończenie.



Nr 24. Firanka krzyżową robotą.
(Deseń odwrotna strona tablicy Nr 14).



Nr 21. Część szlaku do poduszki ryciny Nr 22
($\frac{2}{3}$ naturalnej wielkości).

Firanka krzyżową robotą.

Rycina Nr 24. (Deseń odwrotna strona tablicy Nr 14).

Na tło firanki bierze się kanwową tkaninę. Ślicznie wygląda tkanina „Sorento.“ Wymiar 260 centim. długości, 165 centim. szerokości powiększa się, lub zmniejsza wedle potrzeby. Do haftu używa się wełniana przędza i jedwabna filozela.



Nr 22. Poduszka na kanapę krzyżową robotą.
(Deseń odwrotna strona tablicy Nr 3).

Ubranie podróżne lub spacerowe i kapelusz.

Rycina Nr 23.

Na tego rodzaju ubranie używa się lekkiesukienko, kort szewiot, lub nowy wełniany materiał „covert coat.“ Spódniczka zupełnie obcisła, po bokach ozdobiona zębami, naszytymi białą pasmanterią. Żakiet króciutki z wykładanym kołnierzem i wyłogami, naszyty w zęby pasmanterią; kamizelka istojący kołnierzyk z białej materyi. Odpowiedni do garnituru kapelusz filcowy, przybrany jedwabną gazą.



Nr 23. Ubranie spacerowe i kapelusz.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.“



Główny Skład Zakładów Żyrardowskich



w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

poleca jak zwykle na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe, Kołdry watowane, flanelowe i pluszowe. Wyroby pończosznice, Płótna, Ręczniki, Chustki i Stołową bieliznę letniego bieleńia.

Materyały meblowe, Dywany, Portyery, Firanki.
Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna
damska i męska.

Gotowa bielizna
damska i męska.